№ 39 Warszawa, dnia 13 (25) Września roku 1880.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Treść Numeru: Fryderyk Szopen. — Dwa hymny (wiersz). — Pani Podkanclerzyna. — Obraz Matejki. — Przegląd literacki. — Z kraju i z zagranicy.
W dodatku: Ze wspomnień sieroty, przez T. Maryat (przekład z angielskiego).

FRYDERYK SZOPEN.

przez

Sewerynę D.

Trzydzieści lat ubiegło od skonu genialnego mistrza naszego, a imię jego coraz to żywszym blaskiem przyświeca w dziejach sztuki. Słowicze dźwięki ludowych pieśni naszych, podniesione jego geniuszem do najwyższego ideału, odbrzmiewają dziś po wszystkich stronach świata. Każda niemal europejska literatura, szczyci się życiorysem wielkiego artysty, my tylko mniej szczęśliwi od innych, nie znaleźliśmy dotąd wydawcy, na znakomitą jego biografią skreśloną w języku polskim, wytrawnym piórem pana Karasowskiego, z której wyjątki drukowane przed kilkunastu laty w Biblio tece warszawskiej, wymownie świadczą o jej historycznej i krytycznej wartości.

Życiorys Szopena, wydany przez pana Karasowskiego w języku niemieckim, rozbiegł się w okamgnieniu w dwóch nakładach: wkrótce zapewne ujrzymy trzecią edycyą, pomnożoną nowemi materyałami. Piękny ten życiorys, wzbogacony wybornym poglądem krytycznym, przełożony został w roku zeszłym na język angielski. Z tegoż samego źródła, czerpała francuzka autorka pani Audley pobudkę do dzieła wydanego świeżo w Paryżu, nakładem firmy Plou. Książka ta żywo zajęła Francuzów, którym życie mistrza naszego znanem było jedynie z fantastycznej biografii Liszta, improwizowanej świetnie, lecz w treści ubogiej i niedokładnej. Co zaś do dzieła pani Audley, to jedno zarzucić możemy, że je autorka przedstawiła jako oryginalny utwór, gdy w rzeczy samej jest tylko streszczonem przekładem, jakoby echem pracy pana Karasowskiego.

Wspomnienie Szopena, tak żywe u nas, tembardziej rozbudziło się w tych czasach pomieszczeniem grobowca w kościele Święto-krzyzkim, gdzie pogrzebano jego serce. Sądzimy więc że dziś będzie na dobie, okazać czytelnikom naszym te dziwnie piękną postać artysty, który mimo obcego nazwiska jakie nosił, był przecież krwią ze krwi, kością z kości naszych, bo wykarmiony mlekiem matki Polki, wyniańczony jej pieśnią, rozniósł szeroko po świecie i unieśmiertelnił dźwięki rodzimych melodyi.

Kiedy Fryderyk przyszedł na świat w r. 1809, ojciec jego Mikołaj, od lat przeszło dwudziestu osiedlonym był w Polsce. Urodzony w Nancy, wkrótce po skonie Stanisława Leszczyńskiego, wychowany pod wpływem żywych wspomnień o dobroczynnym królu, gorąco ukochanym przez Lotaryngów, Mikołaj Szopen czuł się niemal Polakiem; chętnie też pośpieszył do Polski, gdy starościna Łączyńska powierzyła mu wychowanie dwóch synów. Związki małżeńskie z Justyną Krzyżanowską, osobę pełną głębokiej pobożności i najwyższych zalet, tem silniej związały go z przybranym krajem, który uważał za swój własny.

Fryderyk urodził się o kilka mil od Warszawy, we wsi Żelazowej Woli, gdzie ojciec zajmował się wychowaniem synów hr. Skarbka.

W rok potem Mikołaj Szopen osiadł w Warszawie, otrzymawszy nominacyą na profesora, w niedawno utworzonem Liceum. Tu dziecię rosło i rozwijało się pod skrzydłem dobrej matki obok trzech siostr ukochanych. Szczęśliwe to były lata, pełen zdolności do wszystkich nauk, mały Fryderyk szczególne miał w muzyce upodobanie. Ilekroć dorwał się fortepianu improwizował na nim rzewne melodye z podziwem rodziców i obcych.

Spostrzegł ojciec rzeczywisty talent w dziecku, wcześnie też wybrał mu nauczyciela: był nim stary Czech Żywny.

Chłopczyk tak szybkie czynił postępy w muzyce że mając ledwie lat dziewięć wystąpił po raz pierwszy w koncercie publicznym na ubogich. Matka wystroiła go starannie na uroczystość. Uszczęśliwiony z pięknego kołnierzyka, maleńki wirtuoz, przypisał mu otrzymane w tym dniu tryumfy.

Odtąd Fryderyk stał się przedmiotem ciekawości powszechnej; każdy rad był słyszeć cudowne dziecię. Oklaski i pieszczoty, nie zepsuły go jednak, nie odwiodły od pracy, po Żywnym, nauczycielem jego został Elsner, Dyrektor Warszawskiego Konserwatoryum. Mistrz ten uczył go kontrapunktu, wykładał mu prawidła harmonii. Odgadł on od razu geniusz ucznia. Nieraz czyniono mu uwagę że chłopczyk idzie za własną fantazyą nie trzymając się reguł. — Dajcie mu pokój, odpowiadał, jeżeli schodzi niekiedy z ubitej drogi, to dlatego że ma swoją własną. Dzieła jego poświadczą kiedyś o samodzielności, jakiej dziś nie znaleźć u nikogo.

Swobodą umysłu i pustotą, Fryderyk ożywiał dom rodzicielski. To z młodszą siostrą, pełną poetycznego talentu *) układał komedyjki, które dziatwa odgrywała w imieniny matki lub ojca, to rysował najśmieszniejsze karykatury, chwytając zręcznie charakterystyczne rysy szkolnych zwierzchników. Wakacye letnie przepędzał zwykle w owej Żelazowej Woli, gdzie go matka wykołysała. Każda przejażdżka na wieś, była dla niego źródłem najżywszej radości, tu bowiem często na godach weselnych i dożynku, czy przy orce i sianożęciu, wsłuchiwał się w cudne melodye ludu mazowieckiego; snać przeczuwał w nich, tajemniczą krynicę żywej wody, co miała odrodzić kiedyś sztukę.

W siedmnastym roku życia odbył z matką i sio-

*) Siostra ta, Emilia zmarła w dwunastym roku życia.

strami pierwszą swą podróż do wód Szlązkich. Podczas pobytu w Reinertz, wziął udział w koncercie na rzecz ubogich. Obsypano go oklaskami.

Wkrótce potem wyjechał do Berlina z profesorem Jarockim, powołanym przez Humboldta na kongres przyrodników. Skromny młodzian, nie przedstawił się nawet Spontiniemu, Mendelsonowi i innym koryfeuszom świata muzycznego, nie opuścił za to żadnej opery, żadnego oratoryum. *Fernan Cortez* Spontiniego, zachwycił go prawdziwie; silniejsze jednak wrażenie sprawiła na nim religijna muzyka Haendla. „To najwyższy dla mnie ideał sztuki, pisał do rodziców, zachowam go na zawsze w sercu mojem!“

W Berlinie młody artysta nie dał się wcale słyszéć, w drodze jednak, wracając z podróży, odniósł prawdziwy tryumf, tem milszy iż całkiem niespodziewany.

Przybywają z Jarockim do miasteczka Zullichau, na poczcie nie ma koni. Potrzeba czekać. Szczęściem w pokoju przyległym artysta spostrzega fortepian, uderza akord, dalejże improwizować na temat ludowej piosenki. Towarzysz podróży niemiec staje za krzesłem, słucha, w obliczu jego znać najwyższy zachwyt. Fajka wypadła mu z ust, czoło jego dziwnie rozpromieniało. Wtem drzwi ścicha się otwierają, wchodzi pocztmistrz, za nim żona córki i domownicy.

Wszyscy stoją jak skamieniali, rzekłbyś stopy wrosły im w ziemię.

Nagle odzywa się za oknem głos pocztyljóna.

— Powóz zaprzężony, czas w drogę, proszę siadać!

— Milcz! zawoła rozgniewany pocztmistrz. Zostań pan chwilę jeszcze, dokończ swej cudnej fantazyi, rzecze zwracając się do młodzieńca, każę doprządz drugą parę koni, staniecie na sam czas w Poznaniu. Żona i córki wyciągają ręce z błagającą postawą. Podróżny niemiec, biegły muzyk, łączy też swoje prośby. Jak się oprzéć takiem naleganiom?

Szopen gra, z jednej melodyi wpada w drugą; wszyscy oczarowani.

Gdy skończył, podano tacę z winem. Pocztmistrz wnosi toast na cześć wielkiego artysty; obecni spełniają go kolejno wśród wrzawy i radosnych okrzyków.

Wreszcie gospodarz bierze na ręce młodziana, zanosi go ze czcią do powozu; gospodyni napełnia kosz słodkiem winem i przysmakami. Pierwszy ten tryumf nie zatarł się nigdy w pamięci mistrza, w czasach największych powodzeń, z uczuciem wspominał serdeczne przyjęcie w Zullichau.

W rok potem ojciec wysłał go do Wiednia. Fryderyk zaczął rok dwudziesty, czas mu już było odbyć artystyczny popis w najmuzykalniejszem z miast europejskich, w ojczyznie Hejdena, Mozarta i Betthowena.

Nieśmiało skromny artysta, przystępował do popisu w obec wiedeńskich znawców. Koncert jego przecież, dany w sierpniu r. 1829, odbył się nadzwyczaj świetnie. Porwał słuchaczów waryacyami z tematów ludowych, zelektryzował ich szczególniej krakowiakiem i mazurem z weselnej pieśni o *chmielu*. Uradowany opisuje rodzicom swe tryumfy.

— „Gdym wszedł na scenę, mówi w liście, przyjęto mnie grzmotem oklasków, po każdej waryacyi, publiczność powtarzała je z takim zapałem, żem nie mógł dosłyszéć orkiestry.“

Drugi koncert dany w obec liczniejszych słuchaczów, większe jeszcze znalazł powodzenie.

„Gdym się ukazał pisze artysta, powitano mnie trzykrotną salwą. Rondem mojem, zniewoliłem sobie wszystkich muzyków z profesyi, od mistrza kapeli Cesarskiej Lanera, aż do stroiciela fortepianów. Panie i muzycy radzi ze mnie, uczeni i poeci toż samo. Ogół publiczności niemieckiej, niezupełnie może zadowolony, ale jeszcze ten się nie urodził, ktoby wszystkim dogodził.“

Dla profanów, gra jego nazbyt była słodka i eteryczna. Wytrawni krytycy widzieli w tem przecież najwyższą zaletę. Jeden z nich Błahetka, dziwił się że młody artysta mógł do tego stopnia wykształcić się w Warszawie.

— Niech to pana nie dziwi, odparł Szopen, przy takich profesorach jak Żywny i Elsner, największy osieł musiałby nauczyć się czegoś.

Z Wiednia młody mistrz, puścił się na Pragę i Drezno do kraju. W Teplicach, w domu księcia Clary, czekały go nowe tryumfy.

Podróż ta oddziałała najkorzystniej na młodzieńca, obudziła w nim wiarę w własne siły. Inna jeszcze okoliczność dała mu nowy polot Było nią zrodzone w duszy pierwsze uczucie. Zobaczmy jak mówi o tem w liście do przyjaciela. „Na nieszczęście może znalazłem mój ideał; cenię go z całej duszy mojej. Już od pół roku, myślę o niej dniem i nocą, a jednak nie wyrzekłem do niej ani jednego słowa. Marząc o tej niewinnej istocie, skomponowałem adagio do koncertu mego z E minor...“

Podczas gdy młodzieniec marzył, ojciec naradzał się z przyjaciołmi, jak rozwijać dalej, tyle zapowiadający geniusz. Stanęło na tem, że Fryderyk miał podróżować przez lat dwa, zwiedzić naprzód Włochy, potem Paryż.

Na wiosnę 1830 roku, Szopen wystąpił z pierwszym koncertem, w Warszawie, w sali teatralnej.

Znawcy przyjęli go z zapałem, ogół słuchaczów jednak równie jak publiczność wiedeńska, zarzucał mu brak energii. Kuryer radził aby na przyszłość wydobył z siebie większą siłę. Szopen w następnym koncercie, poszedł za głosem ogólnym. Wybrał wiedeński głośno brzmiący fortepian i zyskał powszechne uznanie. W liście do przyjaciela, żartuje wesoło z siebie i z publiczności.

„Tego wieczoru, mówi on, oklaski nie ustawały, zapewniają mnie że każda nuta tętniała jak dzwon! że grałem lepiej niż poprzednio. Publiczność wywołuje mnie żądała trzeciego jeszcze koncertu.

„Jeźli mam prawdę wyznać, nie oddałem w improwizacyi wszystkiego co się snuło w głowie mojej, ale publiczność widocznie tego nie spostrzegła.“

Artysta nasz sposobił się do dalekiej podróży, wprzód jeszcze wypadało mu wystąpić z trzecim i ostatnim koncertem. Niewymowna była jego radość, gdy młoda artystka, panna Konstancya Gładkowska, przyrzekła odśpiewać na koncercie kawatinę z *La Donna di Lago*. Utalentowana śpiewaczka była właśnie tą idealną istotą o której marzył młodzian, do której przemawiał nie słowem, lecz dźwiękami najcudniejszych melodyi.

Koncert zachwycił Warszawę; oklaski przecież i wieńce, tak ponętne dla miłości własnej, nie rozradowały smutnego serca artysty; myśl o rychłym wyjeździe rozdzierała mu duszę; dręczące przeczucia snuły się w jego zgorączkowanej wyobraźni.

„Jestem tu jeszcze, pisze do przyjaciela, nie śmiem naznaczyć dnia wyjazdu. Zdaje mi się że na zawsze opuszczam Warszawę, że nie powrócę już do niej. Coś mi szepcze iż na wieki pożegnam kraj rodzinny. O! jak to ciężko umierać gdzie indziej, nie tam gdzieśmy się urodzili. Jakże mi będzie okrutnie, u łoża śmierci, widzieć tylko obojętną twarz doktora i najemnego sługi, zamiast drogich mi twarzy rodzicielskich. Wierz mi przyjacielu, radbym nieraz pośpieszyć do ciebie, przytulić do twej piersi zbolałe serce moje. Błądzę po ulicach bez celu... nic nie może mnie zaspokoić... powracam i cierpię na nowo.“ *)

Wybiła wreszcie godzina rozstania. Fryderyk pożegnał Konstancyę. Ona sama, włożyła mu na palec pierścionek, który pozostał dlań jedynem świadectwem, niewyśnionych snów, niespełnionych nadziei!

Wreszcie 2 listopada 1830 roku, artysta nasz, opatrzony błogosławieństwem rodziców, oblany łzami siostr, puścił się o własnych siłach, na daleką wędrówkę. Grono przyjaciół z Elsnerem na czele odprowadziło go do pierwszej stacyi pocztowej. Tam oczekiwali już uczniowie konserwatoryum; odśpiewali chórem kantatę, ułożoną umyślnie przez Elsnera. Nastąpiła uczta. Przy niej artyści warszawscy ofiarowali odjeżdżającemu srebrną czarkę misternie wyrzeźbioną, wsypali w nią garść macierzystej ziemi.

Fryderyk przyjął ze łzami ten bratni upominek, wyrwał się z objęć towarzyszów. Powóz pocztowy uniósł go w mgnieniu oka z miejsc do których przyrosł duszą całą. Przed nim otwierała się droga szeroka i nieznana; droga, na której miał pełną ręką zbierać wieńce z wawrzynu, ale na której kwiat szczęścia nigdy nie miał zakwitnąć!...

(d. c. n.)

Dwa hymny.

Rozkosze to moje
Te wierzby, te zdroje,
Wesoły, pijany wzrokiem,
Cóżbo ja nie śniłem,
To niby że byłem
Raz zdrojem, to znowu obłokiem.

I zda się że lecę,
Że dzwonię, że świecę,
Że skrzydła gołębie mnie niosą,
Żem cały westchnieniem,
Że żyję promieniem,
Wonnością poranną i rosą.

Żem cały w błękicie,
Że nie wiem co życie,
Wiem tylko żem Boże pacholę,
Że Pan Bóg mi daje,
Te łąki, te gaje,
I wody i lasy i pole.

I pokąd rozkoszy,
Łza rzęsna nie spłoszy,
Pokąd się na dziecię nie schmurzą,
Niebiescy dziedzicy
Niewielkiej różnicy
A jeźli—to pewnie niedużo.

To w piersiach kochanie,
To radość, to łkanie,
To było jak gwiazda w błękicie,
Bezchmurne, bezgniewne,
Wesołe i rzewne,
Ot takie jak Pan Bóg dał życie.

I chociem nie padał
I chociem nie gadał,

---

*) List ten pisany był do Tytusa Wojciechowskiego. Nie mając pod ręką oryginału, wyjątki które podajemy tłomaczone są z obcych języków.

Zadane od matki pacierze,
To w Boga jasności,
To w Boga miłości,
Tąk wierzę, tak wierzę, tak wierzę!

Nie byłem ja psotny,
Odludek samotny
Pod ścianą chruścianą przysiędę,
Piosenki układam,
Nie wiedzieć co gadam,
Śni mi się i z głowy coś przędę.

Pamiętam dwa dźwięki
Mej pierwszej piosenki,
A nikt ich za nowe nie przyzna;
Jak ludzi tam dużo,
Wciąż wtórzą a wtórzą...

. . . .

I koniec piosenki,
I tylko łez rzewnych obfitość;
I z duszy się snowa,
Wymowa bez słowa,
I w niebo spojrzenie o litość.

A niebo tak jasne,
A słońce tak krasne,
Taka tam spokojność na wieki;
Po smutku, po bolu
Tak cicho na polu,
I takie śpiewanie od rzeki.

I jedno dokoła,
Bór woła, zdrój woła,
I modre odległych gór grzbiety,
A woła jak z płaczem,
I nie wie sam za czem,
Lecz dzisiaj to wiem już, niestety!...

Z tą myślą gdzie siędę,
Piosenkę wciąż przędę,
A po co, a na co, dla kogo?
Nic nie wiem, nie pytam,
Anielską nić chwytam,
I znowu mi ciężko choć błogo...

Skądś słowa przychodzą
Skądś myśli się rodzą,
Wyraźnie ktoś mówi pod czołem;
Ze sobą nie sami
Z uśmiechem i łzami,
Sierota się zmawia z aniołem.

O! wieku mój złoty!
O pieśni, tęsknoty!
Ubogich w ojczyźnie dzieciątek;
Wciąż z waszej ja treści,
Wysnuwam powieści,
Przez wieki starczycie na wątek.

Nie z książek to źródło,
S we wody wywiodło,
Nie z marzeń jak prawi oszczerca,
Lecz z smutku i z bolu
Co wieje po polu
Z pod mogił, z pod krzyżów, z pod serca.

Teofil.

PANI PODKANCLERZYNA.

opowiadanie historyczne

z czasów panowania Jana Kazimierza.

przez

Michała Jezierskiego.

Do Pana J. I. Kraszewskiego.

Razem wstąpiliśmy w szeregi literackie, z zapałem młodzieńczym chwyciliśmy za pióro, chęci były jedne, lecz różne dary—Ty zostałeś wodzem, jam pozostał kapralem. Przyjm więc moją pracę, jako hołd Ci należny, a dla mnie dość będzie zaszczytu, żem służył pod Twoim sztandarem.

WSTĘP.

Panowanie Jana Kazimierza było obfite w wypadki. Wszelkie nieszczęścia trapiły Polskę, ciągłe wojny oblewały ziemię krwią walczących, pożary niszczyły miasta i sioła, kraj się wyludniał, sprzymierzone mocarstwa wraz z domową kozacką wojną, groziły już wówczas rozbiorem Lecz mimo tych klęsk, nie upadał duch w narodzie, były jeszcze siły żywotne które oparły się zupełnemu zniszczeniu, była wiara, miłość ojczyzny, poświęcenie, i te były dźwignią do podniesienia się z upadku. Konfederacya Tyszowiecka wzięła za hasło: „Wiara, prawo, swoboda i Ojczyzna,“ walcząc pod tym znamieniem skupiła rozdwojone siły narodu i zapewniła mu zwycięztwo. Wiara ocaliła naród, ale byli też i męże którzy przewodniczyć tej myśli umieli. Byli jeszcze: Koniecpolscy, Lanckorońscy, Wiśniowieccy, Czarneccy i inni, których czyny i poświęcenie się historya zapisała na swoich kartach... Duch narodu nigdy nie umiera, ożywia się on ciągle ojców wiarą, zamiłowaniem języka, poszanowaniem praw i obyczajów, i dopóki niemi się żywi, dopóki gorliwie przechowuje swą narodowość, dopóty istnienie jego jest zapewnione. Konfederacya Barska równie jak Tyszowiecka, pod jednym i tymże samym sztandarem broń podniosła, hasło było toż same, ale wewnętrzny ustrój narodu był różny. Wyobrażenia rozdwajały się na monarchiczne i republikańskie, stary obyczaj walczył z nowym francuzkim, zepsucie moralne wyższych warstw społeczeństwa ujmowało siły narodu, a więc pokonana upadła, była tylko świadectwem iż duch był zawsze żywy i nie tracił swojej narodowej cechy.

Wypadki dziejowe, klęski narodów, często się wyradzają z prywatnych pobudek. Życie więc każdego człeka jest ogniwem całego społeczeństwa, z jednej strony praca, talenta, odwaga, poświęcenie się, z drugiej prywata, zawiść, znikczemnienie, wyradzają cechy które objawiając się czy w wyższych warstwach, czy w gminnych poziomych sferach, przynoszą dobro lub zło krajowi. Życie więc każdego człeka nie jest przechodnią znikomością, każdy po sobie pewien ślad zostawia, każdy skromnym czy rozgłośnem życiem zostawia piętno swego istnienia, które na łonie społeczeństwa odbić się musi, i wpływa na dolę lub niedolę kraju. Jak w organizmie człowieka, wszystkie organa posługują sobie nawzajem, mózg, serce, arterye i najmniejsze weny, dopomagają do zachowania życia, i nic w budowie człowieka ująć ani dodać nie można, tak i w życiu narodów wszystkie członki społeczeństwa są koniecznie potrzebne, użyteczne, bo dopomagają wzajemnie do zachowania ogólnego istnienia całości. Lecz jak w życiu człowieka z zepsutych soków wyrastają wrzody, tak i na łonie społeczności z moralnego zepsucia powstają narośli, które zgangrenować mogą ciało. Takim wrzodem za Jana Kazimierza był Radziejowski w ostatnich czasach Poniński, tylko że pierwszego do haniebnych czynów pobudziła zemsta, drugiego upodlenie.

Będziemy się starali podnieść jedną krawędź zasłony, która od dwóch wieków zapadła i zakryła życie dawno spoczywających w grobie. Dziejopisowie przechowali ich czyny, znamy ich wady i cnoty, historya spełniła swoje zadanie. Czyny ich zachowały się w naszej pamięci, bohaterowie pozostali, ale znikli w nich ludzie, którzy jak i my posiadali różne zachcenia, nawyknienia, namiętności, tworzące ich prywatne życie, a mające wpływ na publiczne sprawy. Aureola świetności równie jak i bohaterska sława zaciera ślady człowieczeństwa, te postacie podnosimy w naszej wyobraźni do półbogów, my zaś chcemy okazać, że ludzie zawsze są ludźmi.

Małżonkowie.

Za panowania Władysława IV, najbardziej wpływowym człekiem był Adam na Cześnikach Kazanowski, Marszałek nadworny, niegdyś bardzo miernego majątku, gdyż po ojcu otrzymał tylko starostwo Borzuwiańskie, lecz łaską Władysława IV przyszedł nietylko do wysokich godności w kraju, ale został jednym z najbogatszych magnatów w Polsce: pałac jego był zbiorem najszacowniejszych rzadkości, wyroby złote i srebrne przez najsławniejszych mistrzów wykonane, obrazy pędzla najpierwszych malarzy, tkaniny wschodnie, meble i sprzęty misternie rzeźbione, kobierce barw jaskrawych, zdobiły wnętrze jego. Musiały być owe komnaty ze smakiem i bogactwem ubrane, kiedy pani de Guébriand przybywająca wraz z poselstwem od króla Francyi do Władysława IV, nawykła do świetności francuzkiego dworu, była zdziwiona i zachwycona świetnością oraz zamożnością pałacu Kazanowskich. Mąż ten znakomity cnotą i rozumem, biegły polityk a uprzejmy dla wszystkich, nie mógł nie pozyskać zaufania i serca króla Władysława. Mimo częstych odwiedzin Kazanowskiego na zamku, gdzie pracował z Królem i wspierał go swą radą, nieraz ten dla wypoczynku przychodził prywatnie do niego, i po kilka godzin w towarzystwie jego przepędzał, Kazanowski nie tylko doradzcą, lecz był i przyjacielem króla.

Zdawało się wszystkim iż Kazanowski dzierżąc wysokie dostojeństwa, mając w swem ręku, ogromne bogactwa, szczycąc się przyjaźnią królewską, najszczęśliwszym człowiekiem w Polsce być musi. Widać jednak że o całkowite, absolutne szczęście zbyt trudno, a nawet niemożliwą rzeczą je osiągać. Pozory szczęścia są bardzo zwodnicze, zazdrościmy drugim czego sami nie mamy, zdaje się nam, że gdybyśmy osiągnęli te warunki jakie ktoś inny posiada, żebyśmy byli na ich miejscu, stalibyśmy się zupełnie szczęśliwi: lecz że jak często na tej zamianie bylibyśmy oszukiwani. Tak i Kazanowski na pozór tylko był szczęśliwym, niczego mu nie brakło, wszystko posiadał... prócz domowego spokoju.

Żona jego była z domu Służków, córka wojewody Trockiego; młoda, znakomitej piękności, starannie wykształcona, z cudownym wyrazem twarzy, pociągającym wszystkich ku sobie; uprzejma w obejściu, posiadała wszystkie przymioty jakich po mał-

żonce pierwszego dygnitarza w koronie wymagać by można. Każdy miał to przeświadczenie iż w bogatym, czarownym pałacu marszałka nadwornego, najdroższym i najświetniejszym klejnotem była gospodyni domu. Komnaty więc dworu były ciągle zaludnione, jedni przybywali dla wziętości męża, drudzy, których liczba była daleko znaczniejsza, dla wdzięków i uprzejmości żony. Lecz jak szczęścia tak i absolutnej doskonałości nie ma na świecie, pani Kazanowska posiadała wszystkie przymioty, wszystkie wdzięki, ale nie miała serca, a gdzie jego nie ma, tam chciwość lub ambicya gnieżdżą się i wzrastają swobodnie. Nie żyjąc nauką lub sercem, szukać musiemy zatrudnień i rozrywek zewnątrz siebie, wpadamy w odmęt światowy, ten chaos nas porywa, wszystkie chwile zabiera, tak iż ciągle próżnując, nigdy czasu nie mamy, intrygi pokątne zastępują czynności życia i oddalają od obowiązków.

Pani Kazanowska żyła zewnętrznym światem, tylko dwór i intrygi stoliczne ją zajmowały, a celem życia było przodowanie w najwyższem towarzystwie, królowanie na dworze. Piękność, dowcip, uprzejmość, posunięte aż do kokieteryi, były bronią którą żądane stanowisko chciała dla siebie wywalczyć. Świetne też bale i przyjęcia odbywały się w pałacu Kazanowskich; prócz ambasadorów zagranicznych i książąt krwi państw ościennych, prócz magnatów i polskiej najwykwintniejszej młodzieży, często przybywał sam król jegomość z małżonką i dworem, oraz bratem, Janem Kazimierzem, księciem Opolskim i Raciborskim. Naonczas był to młodzieniec jeszcze, pięknej twarzy, szlachetnej postaci, choć zimnych rysów, jednak w oczach błyszczał ogień, cechujący odwagą osobistą. Posiadał już niejaką sławę, w wyprawie bowiem przeciw Moskwie odznaczył się rycerskiemi czyny. Wychowany przez ojca Zygmunta III w religijnych zasadach, strzegł czystości obyczajów, umiał hamować swe namiętności i godzić powagę swego stanowiska z wrodzoną dobrocią serca. Jak w boju był odważnym, tak w towarzystwie kobiet był nieśmiałym; ta skromność i bojaźliwość nadawała mu wdzięk uroczy, więcej niemi podbijał niewieście serca, niżby je mógł zdobyć natarczywością i odwagą. To też wszystkie dworskie panie, miały sobie za największy zaszczyt i tryumf, jeśli która po wielu zabiegach otrzymała z ust jego choć słówko przechylne, oznaczające oddanie hołdu piękności i wdzięków.

Przejdźmy do komnaty pani marszałkowej nadwornej, która ukończywszy swoją tualetę, odpoczywała w szerokiem krześle. Długo siedziała zadumana, czasem jakiś lekki zmarszczek pofałdował gładkie i piękne jej czoło: czasami po koralowych ustach przeleciał figlarny uśmieszek, czasami w jej cudnie pięknych oczach zabłysła iskra gniewu, to znowu jak chmurka deszcz zwiastująca; jakaś tęsknota zamgliła to oko i mogła w łzę się zmienić; widać że tysiączne sprzeczne myśli mieszały się w jej głowie, rodziły się i plątały jakieś zachcenia, czy układały się środki aby w czyn je zamienić.

Nareszcie klasnęła w dłonie, wnet otworzyły się podwoje i wszedł ujmującej twarzy młodzieniec; skłonił się z uszanowaniem i czekał rozkazów.

Pani Kazanowska zapytała:

— Czy do kanclerzyny Ossolińskiej odesłano moje listy?

— Od godziny kuryer z niemi poleciał, odrzekł młodzieniec.

— Wojewodzina ruska pani Jeremiaszowa Wiśniowiecka, nie przysłała mi jakiego pakietu?

— Dotąd nic nie otrzymano.

— Ksiądz biskup Chełmski, Petrokoński, czy nie przychodził do mnie?

— Był przed godziną, lecz j. w. pani marszałkowa nie była jeszcze w salonie, więc go nie przyjęto.

— Mąż mój pan marszałek, czy jest u siebie?

— Jest j. w. pani ale się wybiera do króla.

— Powiedz panu marszałkowi że potrzebuję go widzieć.

Skinęła ręką, młodzieniec się oddalił.

Młodzieńcem tym był Tyzenhauz, daleki krewny Służków; wzięty do dworu marszałka nadwornego sprawował urząd sekretarza samej pani; był przystojny, jak by posąg mistrza pięknie wykuty, oczy biegające, jakby chciwe wszystko zbadać i przejrzeć pragnęły, ogładę miał dworską; uniżony dla panów, którym usługi swe poświęcił, a hardy i dumny z niższymi. Wyniesienie się, było główną jego myślą, i nie bacząc na środki godziwe czy niegodziwe, dążył do celu, choćby miał przyjść do zaszczytów pochlebstwem i intrygą. Miał dar odgadywania wszystkich charakterów, wszystkich słabostek serca, ztąd każdy chciał go mieć na swe usługi gdy szło o tajemnicze jakieś zabiegi. Widząc wpływ marszałkowej u dworu, służył jej wiernie, wykonywał rozkazy sumiennie, a stając się jej użytecznym, upatrywał w przyszłości nadgrodę, w osiągnieniu zaszczytów i zbliżenia się nawet do króla.

Gdy młodzieniec wyszedł z komnaty w kilka minut ukazał się Kazanowski wspaniale przybrany, żupan biały atłasowy ściskał jego kształtną postać, u szyi spinka z drogocennym soliterem, pas z klamrą drogiemi kamieniami wysadzoną, kontusz dygnitarski ponsowy z wylotami na plecy zarzuconemi, przy boku karabela z rękojeścią kameryzowną rubinami i szmaragdami, a w ręku sobolowy kołpak z czaplem piórem. Zwykle tak paradnie występował gdy się udawał na królewskie pokoje, skłonił się żonie i w rękę ją pocałowawszy rzekł:

— Chciałaś mnie widzieć moja Anno, odkradam kilka minut od moich zajęć, aby stawić się na twe rozkazy, które zawsze najmilej mi spełniać.

— O! nie zawsze! odrzekła kwaśno marszałkowa, a nieposłuszeństwo twoje odbiera często zasłużoną karę.

— Jeśli twe żądania sprzeciwiają się interesom stanu, wówczas tylko oprzeć się im ośmielam, król i dobro kraju przedewszystkiem: z królem wiąże mnie przyjaźń osobista i przysięga wierności, a straż nad pomyślnością ojczyzny jest najpierwszym moim obowiązkiem.

— Szumne to frazesa mój marszałku, pierwej mnie przysiągłeś niż królowi, a dobro rodziny, jej szczęście i pomyślność, jest obowiązkiem męża.

— Zdaje mi się że ten obowiązek spełniam sumiennie, moja Anno.

— Zdaje ci się, ale tak nie jest. Wszystkoś mnie winien, najprzód województwo Sandomierskie, póżniej marszałkostwo nadworne, nie twojem ale mojem jest dziełem. Ród Kazanowskich, z prostej szlachty wyniosłam do dygnitarskich godności, mojem to staraniem skupiły się w twych rękach liczne starostwa, przyszedłeś do magnackich dostatków, moim zabiegom winieneś wysokie stanowisko które dziś zajmujesz.

— Pracę i zasługi król łaskawie wynagradza, jemu i krajowi tylko jestem obowiązany za to. Gdybym był przeświadczony iż pokątną intrygą przyszedłem do tych zaszczytów, dziś bym złożył dygnitarstwo i zrzekł się posiadanych starostw. Ród Kazanowskich chociaż nie piastował wysokich urzędów w Rzeczypospolitej, choć nie dworował przy królach, ale krew swoją poświęcał w obronie kraju; radą i orężem dobił się poszanowania w ojczyznie i w zacności swojej nie ustępuje ani Służkom, ani innym, chociaż największym rodom.

— Pomyślność cię zaślepia, odrzekła gniewnie marszałkowa, nie możesz zrozumieć czem byłeś, a więc ja ci powiem. Byłeś prostym szlachetką tylko i nic więcej. A chcesz wiedzieć czem jesteś? i to ci powiem; jesteś dziełem rąk moich.

— Szlachectwa się nie wyrzekam, odrzekł Kazanowski i ten zaszczyt stawiam wyżej nad wszystkie zaszczyty. Jestem dziełem rąk twoich? to prawda, lecz nie w osiągnięciu urzędów i fortuny, tylko jako ofiara twych kaprysów, twych zachceń, i ciągłych niepokojów, któremi dom mój napełniasz i mnie nieustannie dręczysz. Od goryczy takiego pożycia postradałem zdrowie i jeśli śmierć mnie spotka przedwcześnie, to także będzie dziełem twojem.

— Nie na usługach kraju, ani z mojej przyczyny postradałeś zdrowie: pewno to grzechy młodości, jakieś rozpustne nadużycia, wyssały ci siły, tak że dziś nie możesz nawet doczekać się potomstwa.

— Pozwól pani abym się sam z mojem sumieniem rachował; nie byłem wychowany w pańskim, lecz szlacheckim domu, gdzie zepsucie jeszcze nie weszło pod strzechy rodzinne. Tam wiara i tradycyjna uczciwość szlachecka strzegła czystości obyczajów, do rozpustnych postępków czasu nie miałem nawet, bo albo się uczyłem, albo pracowałem dla publicznego dobra. Nie pojmujesz że człek z zasady może być uczciwym, i z tej uczciwości na włos nie ustąpi za skarby całego świata i za najwyższe zaszczyty. Nie masz serca, a więc tego pojąć nie możesz.

— Mam serce, odrzekła marszałkowa i z gniewem dodała: ale nie dla ciebie.

— Oddawna wiem o tem, smutnie odpowiedział Kazanowski, nie jestem ślepy abym nie widział twoich zabiegów, do których nie miłość ale próżność cię wiedzie; ale wiedz o tem pani, że krew Jagiellonów, nie jest krwią Burbonów, czego się nie wstydzi król Francyi, Waza z Jagiellonki urodzony poczytałby za zbrodnię.

Na te słowa marszałkowa pobladła, długo nic nie mówiła, aż ocierając łzę, która czy to z trwogi, czy z gniewu spłynęła po jej licach, rzekła nareszcie:

— W twoim interesie tylko staram się zbliżyć i pozyskać serca wszystkich członków rodziny królewskiej: nie umiesz ocenić mego poświęcenia, zrozumieć się nie możemy, idźmy więc każdy swoją drogą. Dla świata będę twoją żoną, ale w domu będę obcą dla ciebie.

— Wszakże tak już oddawna jesteśmy, odrzekł z westchnieniem marszałek i dodał siłą woli otrząsając się z przykrego wrażenia tej rozmowy.

— Ale król czeka na mnie, chwili dłużej bawić nie mogę.

Wziął żonę za rękę i łagodnym wzrokiem patrząc w jej oczy rzekł:

— Anno! gdy kobieta z prawej drogi schodzi na kręte ścieżki, jeśli nie upadnie, to błotem obryzgać się musi. Trzymaj się więc prostej drogi.

Nie czekając odpowiedzi Kazanowski pośpieszył na zamek.

Czekolada u Kanclerzyny.

Pani Kazanowska gdy została sama, padła na krzesło i w niemem osłupieniu z ćwierć godziny pozostawała: później zarumieniła się twarz jej blada, oczy ogniem błysnęły, i głosem wzburzonym jeszcze poczęła mówić do siebie:

— Zimny! rozważny! przenikliwy! wszystkie te przymioty są dla mnie ohydne, ja chcę działać sama, działać siłą mej woli, i nie ścierpię aby ktokolwiek wglądał w moje postępki! Prawi mi o prostej drodze, nikt tą drogą do niczego nigdy niedojdzie!

Zerwała się z krzesła i szybkim krokiem zaczęła się przechadzać po komnacie, aż stanąwszy rzekła:

— Niepewność mnie udręcza! ale są środki aby rozedrzéć tę zasłonę. Nie braknie mi sposobów aby ją zerwać. Walczyć będę dopóki niezwyciężę.

I znowu zapadła w głębokie dumanie, potem poszła ku pięknej klatce w której mieściła się śliczna papuga, gdy ta spostrzegła swoją panią, wrzasnęła chrapliwym głosem: „zwyciężysz.“

To słowo rozjaśniło czoło marszałkowej, wsunęła drobną rękę do klatki, zaczęła głaskać papugę i mówiła do niej:

— Nauczyłam cię tego jednego słowa którem każdego witasz, ty niem i mnie pocieszasz czasem: ale ono się z iści, sprawię ci złotą klatkę i nauczę drugiego wyrazu: „zwyciężyłaś.“

Słowo przez papugę powiedziane rozpędziło ponure myśli pani Kazanowskiej; teraz biegły daleko w przyszłość, świetne obrazy jedne za drugiemi się przesuwały, widziała się blizko tronu, a później, później... bodaj czy nie w koronie. To słodkie marzenie przerwało kilkakrotne do drzwi stuknięcie. Na znak że wejść wolno, ukazał się znany nam Tyzenhauz i wręczając misternie złożony bilecik, zapytał:

— Czy goniec pani kanclerzyny ma czekać na odpowiedź.

Marszałkowa po dwakroć list odczytała, piękna jej twarz coraz więcej opromieniała się radością, uśmiech zadowolenia błądził po ustach, oczy pałały coraz większem życiem i z gorączkową wesołością zawołała:

— Za dobrą nowinę ucałuj tę rękę która cię zawsze wspierać będzie.

Młodzieniec tą łaską uradowany, złożył serdeczny pocałunek i jakby z obawy, aby to szczęście prędko się nie rozwiało, zatrzymał w swej dłoni cudowną rączkę dłużej nieco niż etykieta tego dozwalała.

Marszałkowa popatrzała mu w oczy, uśmiechnęła się i kazała mu odejść.

Znowu się zadumała i rzekła:

— I temu młokosowi coś się roi po głowie. Ha! jeśli tak jest jak się domyślam, wierniej jeszcze służyć mi będzie.

Siadła w krześle i pół głosem odczytała jeszcze raz list od pani kanclerzyny.

„Droga sercu memu Anno! Dziś książę królewicz przyjdzie do mnie na czekoladę, ja stara, zmęczona życiem, nie mogę go rozerwać, przyjdź więc do mnie abyś swoją wesołością uprzyjemniła mu te kilka chwilek spędzonych u mnie. O godzinie szóstej czekać cię będę. Izabela.“

Marszałkowa zamknęła list do biórka wyłożonego perłową konchą, a sama udała się do przyległego pokoju gdzie zwykle się ubierała. Na stole kobiercem przykrytym, stało ogromne weneckie zwierciadło w misternych ramach, nad niem dwa srebrne amorki przytrzymywały zasłonę przejrzystą spadającą po obu jego stronach, mnóstwo kryształowych flaszek z włoskiemi eliksirami do zachowania piękności i świeżości lica, kilka puszek z arabskiemi wonnościami, różne złocone naczynia z rozmaitemi pachnidłami zalegały stół cały. Ściany obciągnięte były grubą materyą, na której wśród misternie wyrobionych palmowych gałęzi, siedziały różno-kolorowe papugi i rajskie ptaki. Na marmurowym kominie stał ogromny staroświecki zegar o dwudziestu czterech godzinach, z całem Zodjakiem a nadto okazującym dnie i miesiące. Komnatę okrążały nizkie sofy z perskiej materyi, wreszcie posąg marmurowy Wenery i kilka obrazów. Marszałkowa stanęła przed lustem, i jakby z niem się naradziwszy, klasnęła w dłonie i wchodzącej służącej oznajmiła że będzie się ubierać. Wnet sześć panien z fraucymeru przybiegło na usługi: jedna niosła srebrną misę z różaną wodą, drugie kilka par sukien do wyboru, inne drobne różne dodatki służące do wykwintnego stroju. Najstarsza panna przystąpiła do utrefienia głowy, marszałkowa jej rzekła:

— Chcę być dziś piękną moja Hirszówno.

— To nad siły ludzkie j. w. pani, gdyż piękniejszą już być nie można, sztuka nie zdoła nic dodać.

— Jednak sprobój moja Hirszówno, jeden pukiel dobrze umieszczony, kokarda w miejscu przypięta, nawet jeden fałd sukni może podnieść i upiększyć dzieło natury.

— Wszak wie j. w. pani iż na dworze wszyscy mówią, iż nikt tak pięknie się nie ubiera. Wszystkie elegantki, pani wojewodzina Podolska, podczaszyna Koronna, wojewodzianka Krakowska, starościna Sokalska, Stanisławowa Potocka, Mikołajowa hr. Ostrorog, Lubomirska, Denteffowa, zazdroszczą pani jej stroju i piękności.

— Co mi tam moja Hirszówno; że mnie panie chwalą, ale co mówią o mnie panowie.

— Nieskończyłabym dzisiaj, wyliczając wszystkie pochwały mężczyzn, które tylko do mych usz dolatują. Nie mówię o starych, jak wojewoda Kijowski, starosta Krakowski, którzy się odmładniają przy niej, ale chorąży Koronny, starosta Sokalski, ci giną z adoracyi do j. w. pani.

— Ci wszyscy, moja Hirszówno, albo starzy, albo żonaci, ale co o mnie młodsi mówią?

— A! wielki Podczaszy młody i piękny, ten czci panią jak bóstwo.

— Dla niego wszystkie kobiety są aniołami, zatem moja Hirszówno tryumf to niewielki.

— Jest jeden, na dworze królewskim, który skrycie ją uwielbia ale nie śmiem go wymienić.

— Któż taki? mów śmiało, gdyż domyślić się nie mogę.

— Jest nim... i nachyliwszy się do ucha Marszałkowej, rzekła ścicha, jest nim... Jan Kazimierz książę Raciborski.

Marszałkowa się zarumieniła, oczy jej błysnęły ogniem radości, spostrzegła to Hirszówna i uśmiechnęła się znacząco.

— Zkądże o tem wiesz, moja kochana Hirszówno?

Ten dodatek *kochana*, ośmielił Hirszównę do dalszych zwierzeń.

— J. w. pani nie wie co się na jej dworze dzieje.

— Więc mów moja droga, kochana Hirszówno, wzbudzasz moją ciekawość, cóż to jest? jakżebym niewiedziała co się u mnie dzieje?

Panna Hirszówna usłyszawszy powtórny dodatek *droga*, pojęła ważność swego położenia, przeczuła że jej słowa zjednać mogą łaskę pani. Zniżywszy więc głos, aby fraucymer zajęty ubieraniem sukien nie słyszał rozmowy, rzekła ścicha:

— Pani nie wie, że murzynek księcia codziennie do pałacu przychodzi.

— Jakto? Hypaks? cóż on tu robi? zapytała marszałkowa.

— Hypaks ma polecenie od księcia, aby każdego dnia dowiadywał się o zdrowie pani marszałkowej, i dostawał języka jak pani marszałkowa swoim dniem rozporządza, gdzie i do kogo ma zamiar wyjechać.

— Pocóż ta wiadomość księciu? powiedz mi kochana Hirszówno.

— Gdy kto chce wiedzieć o zdrowiu codziennym jakiej osoby, gdy kto chce być zawiadomionym gdzie i jak ta osoba ma zamiar dzień przepędzić, aby można choć z daleka ją ujrzeć; gdy kto taką troskliwość ciągle okazuje, to j. w. pani wie jak to uczucie się nazywa.

Marszałkowa znowu się zarumieniła i ścisnąwszy za rękę Hirszównę rzekła:

— Na miłość Boga, nie powtarzaj nikomu swoich spostrzeżeń, gdy jeszcze dowiesz się czego, mnie jednej, ale tylko mnie jednej, możesz powiedzieć. Rozumiesz?

— O! bardzo dobrze rozumiem j. w. pani.

Tymczasem w ciągu tej rozmowy ubranie zbliżało się już do końca, marszałkowa ciągle zadumana nie rzekła już ani słowa, gdy nareszcie cudownie wystrojona, przypatrzywszy się sobie w lustrze, z pudełeczka dostała brylantowy pierścionek i rzekła:

— Tak mnie pięknie ubrałaś moja Hirszówno, tak jestem zadowolniona z ciebie, bo jesteś prawdziwą artystką w strojach, iż na znak mej wdzięczności daję ci ten pierścień.

— Hirszówna ucałowała rękę marszałkowej i rzekła z rozczuleniem.

— Czyż warta jestem tej łaski?

— Pozwól aby ja sama oceniła zasługi każdego, warta jesteś, bom się dziś przekonała, o twojej przychylności dla mnie.

Cały fraucymer nizko się skłonił i za przodkującą panną Hirszówną wszystkie panny służebne wyszły z komnaty marszałkowej.

W pół godziny marszałkowa była już w pałacu kanclerzyny.

(d. c. n.)

OBRAZ MATEJKI
na tegorocznej wystawie w Paryżu.

(Dokończenie).

O bitwie pod Grünwaldem, jako o tyle ważnem zdarzeniu dziejowem, pozostało się bardzo wiele zabytków kronikarskich, i jej przebieg jest wiadomym dokładnie. Krzyżacy uderzyli na prawe skrzydło, gdzie stali Litwini i rozproszyli takowych. Jedni tylko Smoleńszczanie dotrzymali kroku, i na ich czele Witold przedarł się do rycerstwa polskiego. Król Władysław Jagiełło, na ogólne żądanie panów radnych, stał na uboczu, w chwili jednak niebezpieczeństwa, chciał ruszyć osobiście do boju, i zranił oszczepem wstrzymującego go Czecha. Niebezpieczeństwo było wielkie, bo nawet wielka chorągiew upadła na ziemię, ale rycerstwo polskie męztwem swem uratowało sprawę. Siedemnaście świeżych chorągwi krzyżackich, które chwilowo przeważyły zwycięztwo na stronę zakonu, zostały w pień wycięte. Poległ wielki mistrz również jak i chorąży Kesdorf uściskawszy przed śmiercią trzymany w ręku sztandar. Pan Matejko zastosował się ściśle do tradycyi dziejowej, umiejąc w utworze sztuki różne epizody bitwy połączyć w jedną całość.

Strona lewa, prawa i środek stanowią jakby trzy części, z których każda daje przedmiot do genialnego obrazu.

Są one jednak ściśle z sobą złączone, za pośrednictwem różnych postaci rycerskich, pełnych życia, energii, mających właściwą sobie charakterystykę. Bogactwo szczegółów dające miarę siły wyobraźni, przechodzi wszelkie pojęcie.

Autor nie powtórzył się ani razu, najmniejszy drobiazg jest różny od innych. Ubiór, zbroje, rodzaj nawet walki, jest właściwy każdej postaci jaką dostrzegamy. Widzimy rycerzy na pół nagich, i stopnie pośrednie aż do książąt panujących olśniewających przepychem ubioru.

Pan Matejko zebrawszy ogromne zasoby wiadomości dotyczących tej epoki, nie ugiął się pod ich ciężarem; nie idzie niewolniczo za wskazówkami kronikarskiemi, ale jak filozof, wydobywa z dziejów główną myśl przewodnią.

Dowodem tego postać wielkiego mistrza na obrazie. Wedle ówczesnych świadectw, Ulryk Jungingen był młody, pełen energii, dumy, pychy i zarozumiałości.

Upadający więc zakon miał wodza nieodpowiedniego do swych sił moralnych. Wypadki tego rodzaju zdarzające się w rzeczywistości, na obrazie byłyby bardzo niestosowne, jako pozbawiające utwór właściwej charakterystyki. W pracy więc naszego gienialnego artysty, widzimy właściwie nie Ulryka Jungingen, ale jego poprzednika, Konrada, słynnego ze swej gnuśności i zamiłowania uciech światowych. On niewątpliwie był sprawcą doznanej klęski pod Grünwaldem, oddziaławszy szkodliwie przykładem swym na obyczaje narodu. Słusznie więc bardzo znalazł pomieszczenie na obrazie w postawie już przez nas opisanej.

Wszystko to cośmy dotąd powiedzieli, daje tylko słabe wyobrażenie o obrazie pana Matejki.

Wielkie utwory sztuki wymagają odpowiednich komentarzy, zanim zrozumiane będą przez ogół publiczności. Właściwa autorowi nadzwyczajna siła twórcza, utrudnia do pewnego stopnia należyte zrozumienia całości utworu. Z liczby patrzących, dziewięć dziesiątych z pewnością nie widziało nic więcej, prócz Witolda i Ulryka, ponieważ nie mieli czasu do *pracowitego* rozpatrywania obrazu. Na głównym planie nie dostrzegamy ani jednego wolnego cala przestrzeni, wszystko ściśnięte i skute razem, jak się wyraził dowcipnie korespondent do Kuryera poznańskiego, jednem wielkiem uczuciem nienawiści.

Wśród szczelnie zbitych postaci, wśród tarczy, hełmów, oręży różnorodnych, często z trudnością przychodzi odszukać twarz, nogę, lub inną część ciała, rycerzy znajdujących się przed naszemi oczami. Autor użył wszelkich środków możliwych, aby zamieszanie uczynić zupełnem.

Dowodem tego płaszcz wielkiego mistrza wzniesiony w górę, i stanowiący koło głowy prawdziwą galeryą białą. Płaszcz jest ciężki, z grubego sukna, potrzebaby prawdziwego uraganu do jego wzniesienia w górę, a tu nie dostrzegamy żadnych objawów, aby fale powietrzne wzruszone były w sposób nadzwyczajny. Ludzie więc, ich oręże i konie zostały połączone szczelnie, nie tracąc jednak wcale na swej jednostkowej wartości. Było to zadanie godne zaiste gieniuszu wielkiego artysty, ale nie zostało zrozumiane przez wszystkich. Francuzi szczególniej lubią myśli wyraźne, rzeczy określone jasno, i wszelka mglistość tyle ponętna dla Niemców, dla nich nie ma najmniejszego uroku. Wypada także żałować, że nie przygotowano w języku francuzkim żadnych wskazówek do obrazu. Dzieło tych rozmiarów i tego znaczenia dziejowego, przepełnione skarbami nauki i świetnej imaginacyi artysty, potrzebuje koniecznie stosownego objaśnienia aby stać się zrozumiałem dla wszystkich.

Pan Fourcand, jedyny krytyk paryzki, przerwał systematyczne milczenie pism poważniejszych, wypowiadając zdanie śmiało i otwarcie o pracy pana Matejki.

„Obraz bitwa pod Grünwaldem, mówi pan Fourcand, w pierwszej chwili olśniewa nas, przestrasza, zniewala do spuszczenia powiek, w obec bijących promieni z wielkiego ogniska. Wystawcie sobie niewypowiedziane zamieszanie, spowodowane straszliwą walką ręczną...

Dalej autor mówi w wyrazach ogólnych o rycerzach, koniach, zbrojach a później czytamy:

„Zaiste potrzeba czasu i uwagi, aby rozróżnić te wszystkie szczegóły przedstawionej bitwy. Obraz ten wprowadza nas w prawdziwy kłopot, odpycha nas i przyciąga, i przedstawia się w naszej wyobraźni jak zagadka, a raczej jak zbiór różnorodnych zagadek, będących symbolami sił utajonych ścierających się z sobą. Przemawia z niego dzikość, uniesienie, bohaterstwo z domieszaniem pierwiastku szatańskiego, tyle właściwego w przedstawionem dziele zniszczenia. Oryginalność zupełna, nie mająca nic wspólnego z duchem ludów łacińskiego lub germańskiego pochodzenia. Nic nie spoczywa w pokoju, ale nagromadzone bogactwo aż do zbytku. Barwy zielone, czerwone, niebieskie, żółte, wzywają jakby do uczty szalonej, i zadają tyle ciosów patrzącym, ile ciosów odbierają bohaterowie na obrazie. Jeżeli jednak zawładniemy pierwszem zamieszaniem naszego umysłu, wszystko ulega zmianie, porwani jesteśmy potęgą utworu, zdolnego wśród pozornych sprzeczności zachować jak największą harmonią. Bezwątpienia moglibyśmy żądać więcej powietrza i więcej przestrzeni wolnej, aby potykający się rycerze mogli oddychać swobodnie, aby koloryt był mniej samowolny, ale czyż mamy prawo wymagać aby artysta dał nam co innego, aniżeli to co nam dać zamierzył. Zanim odmówimy panu Matejce przywileju wytworzenia nowej szkoły, prosimy o wskazanie w przeszłości prac, których on jest naśladowcą, i o wymienienie malarza współczesnego, któryby potrafił wyjść zwycięzko z tak olbrzymiego zadania, jakiem jest bitwa pod Grunwaldem.

K. G.

Przegląd literacki.

Zasady poprawnego pisania, w przykładach wyłożyła Józefa Kamocka. Warszawa 1879.

W czasach obecnych, gdy brak genialnych i samodzielnych pisarzy wstrzymuje dalszy rozwój i kształcenie się języka, natomiast zaś liczne, wszech obecne i potężne wpływy działają na coraz to widoczniejsze skażenie mowy ustnej i piśmiennej, szczupła garstka pracowników i pracownic uważa jeszcze za swój obowiązek stać na straży czystości języka przodków i podejmować nie dający już dziś ani wziętości ani korzyści materyalnych, a często kroć ani nawet wdzięczności, a więc wszechstronnie niewdzięczny trud prostowania cudzych błędów i wskazywania właściwych dróg błądzącym. Autorka niniejszej książeczki p. Kamocka, niejedną już pracą w tym kierunku dała się poznać jako jedna z owego zastępu stojących na wyłomie: cechujące skromne jej dziełka zamiłowanie przedmiotu i dążność szlachetna nadają im wartość znaczną, a poczucie potrzeby zaradzenia złemu i znaczne doświadczenie praktyczne, widoczne w metodzie i wykładzie, podwyższają wewnętrzne zalety treści. Wszystko to sprawia, że prace p. Kamockiej, pomimo niektórych wadliwości i błędów, przynoszą dużo pożytku, a ten fakt że rozchodzą się w kilku wydaniach i w znacznej liczbie egzemplarzy, świadczy wymownie zarówno o ich potrzebie jak i o popularności w braku lepszych — dodajemy to bynajmniej nie w celu nagany. Obecnie, po Gramatyce i Teoryi Stylu autorka daje nam Zasady poprawnego pisania, poświęcając tę książeczkę „drogim uczen-(n)icom, jako przypomnienie wszystkiego, co w ich sercu i myśli zaszczepić pragnęła z najtkliwszą dla nich miłością.“

W przedmowie zwróconej do tych uczenic, z których niejedna już sama jest matką, autorka wypowiada z ciepłem serdecznem kilka uwag głęboko prawdziwych i trafnych, które tu dla Czytelniczek naszych wypisujemy żywcem, gdyż tak tylko kobieta do kobiet przemówić potrafi.

„Są rzeczy święte i drogie, które się dziecku od matki na drogę życia należą: które jej staraniem w młodej duszy wyryte być powinny, aby w niej nie zatarły się nigdy, które ona miłować nauczyć powinna, aby jego sercu obojętnemi nigdy się nie stały, takiemi są: zasady religii i zasady swej mowy ojczystej, a ja w każdej z was chcę widzieć matkę-nauczycielkę czy nauczycielkę matkę, co jednem tylko pojęciem dla zacnej kobiety być winno.“

„W imię więc praw i przywilejów moich, którym serca wasze nie zechcą pewnie zaprzeczać, zwracam się do was z gorącem słowem wezwania do gorliwego spełniania obowiązków waszych w kółku rodzin własnych i przybranych i niosę pomoc i wskazówkę wam, niedoświadczonym w nauczaniu dzieci porządnego mówienia i pisania, koniecznie jeszcze potrzebną.“

„Złe nie czeka... Nie już nasze dzieci, ale nasza obojej płci młodzież słowem i piórem kaleczy własny swój język; nieprzygotowanym zupełnie poważne prace zacnych i rozumnych pedagogów naszych, nie mogą przynieść pożytku, bo maluczkim do wysokich niepodobna jest o swych siłach dostać: to rzecz matki-nauczycielki, aby ich ku nim podniosła, aby jej język pieszczony torował drogę językowi ludzi uczonych.“

Pozwolę tu sobie uczynić uwagę, że „poważne prace zacnych i rozumnych pedagogów naszych, jak wyraża się autorka nieco optymistycznie, są niestety, w tym przedmiocie bardzo nieliczne.

W wykładzie część praktyczna przeważa nad teoretyczną: prawideł niewiele, a daleko więcej przykładów i ćwiczeń, zestawionych z wyrazów trudniejszych pod względem ortograficznym, z wyrazów podobnych, z wyrażeń błędnych i wymagających sprostowania. Ta przewaga żywiołu praktycznego, który widocznie zawdzięczamy działalności pedagogicznej samej autorki, stanowi wielką zaletę książeczki i podwyższa jej pożytek. Przebiegnijmy w krótkości treść tej pracy, przy czém wypadnie zwrócić uwagę na niektóre błędy i niedokładności.

Najpierw mówi autorka o zasadach pisowni, o jej podziale, o używaniu samogłosek i spółgłosek, o miękczeniu tych ostatnich, o rozdzielaniu wyrazów, o przyrostkach, o przysłówkach i przyimkach złożonych, o dużych literach i o znakach przestankowych. Wszystko to na 18 stronicach—niebardzo systematycznie i, jak widzimy, w porządku dosyć dowolnym, czasem za krótko i za pobieżnie. Ważniejsze usterki i niedokładności w tym dziale dostrzegłem następujące.

Nie dosyć jest wyraźnem, jakie to znaczenie ma w pisowni „wzgląd na ducha wyrazów czyli na tę myśl, jaka (która) się w nich zawiera“ (str. 9)— niejasne to nawet w razie gdyby ów *duch* i *myśl* oznaczały znaczenie wyrazu, gdyż nie znamy przykładu w którymby *pisownia* wyrazu zależała od jego *znaczenia*. *Głoska* jest to brzmienie pojedyncze, znak zaś piśmienny wypada nazwać *literą*. Autorka pisze *ramięnia*, *imięnia*, wprowadzając tę nowość na pozór konsekwentnie, na wzór *dzieciącia*, *cielęcia*, ale błędnie, gdyż w *ę* zawiera się już *n*: *ra-*

mię jest zamiast *ramień* i pisać *ramięnia* byłoby to samo co pisać *ramiennia*; należy więc pisać *ramiena, imienia*, (właściwie zamiast *ramę-ia, imię-ia*, str. 10)

W błędzie jest również autorka, utrzymując że *ó* pisze się *dla zwyczaju lub podobieństwa do innych języków* (str. 12): widocznie nie wie, że *ó* powstało *z długiego o* (=oo) i jest zamianą zaginionego obecnie w języku polskim iloczasu; nadto *ó* właściwie *nie brzmi jak u*, chociaż tak utrzymuje p. Kamocka, lecz jest brzmieniem środkowem między *o* i *u*, jak to słychać wybornie w wymowie ludowej, gdzie np. *góra* nie brzmi *gura* ani *gora* lecz jest brzmieniem pośredniem między obojgiem. Zalecane przez autorkę *é* w trybie bezokolicznym słów jak *myśléć, drzéć* i t. d. uważane jest za zbyteczne przez większość gramatyków i badaczy języka. W połowie niezrozumiałe, a w połowie fałszywe jest określenie autorki względem *h*, jakoby ta litera „pisze się w wyrazach, w których jej brzmienie *ginie* i które są nam przyswojone“ (str. 16). Cóż to za nowość—jakieś *h* nieme w języku polskim? (jak *h muet* po francuzku?) Tego nie rozumiemy, a co do dodatku, że *h* pisze się w wyrazach cudzoziemskich (przyswojonych—to całkiem fałszywe). Wyrazy bowiem *hańba, hulać, hałas, huk* i t. d. są niewątpliwie polskie, a jednak piszą się przez *h*; z drugiej strony *charakter, chimera, chaos* i mnóstwo innych piszemy przez *ch*, chociaż te wyrazy obce. Punkt to ważny, w którym ciągle błądzimy, gdyż w obecnym języku polskim brzmienie *h* (słabe) prawie całkiem zaginęło (przynajmniej w narzeczach w Królestwie), zastąpione brzmieniem *ch*: ztąd i w wymawianiu i w piśmie, a nawet i w druku słyszymy i czytamy ciągle *chumor, chonor* i odwrotnie *harakter, himera*.

(d. n.)

Z kraju i z zagranicy.

— Osławiony pismak, współpracownik niektórych żydowsko-niemieckich pism, jak „Breslauer Zeitung“ „Über Land und Meer“ i kilku innych, ów niefortunny „bajarz z Pół-Azyi“ żydziak galicyjski K. E. Franzos, dostał zasłużoną odprawę w przed ostatnim numerze powszechnie znanego naukowego tygodnika „Ausland.“ Już zaraz po wyjściu jego ‚Pół-Azyi“ został surowo zgromiony i wyszydzony w temże piśmie, za podawanie czytelnikom niemieckim tak niestworzonych bredni o Galicyi, kłamstw tchnących nienawiścią ku wszystkiemu co polskie. Cała uczciwa a bezstronna prassa niemiecka, potępiła wtedy nędzne utwory tego pismaka, który korzystając z nieświadomości zagranicy o naszych stosunkach, z bezprzykładnym cynizmem zmyślał najpotworniejsze a najnieprawdziwsze rzeczy. Ponieważ, jak mówi „Ausland“ „natura ciągnie wilka do lasa“ zatem Franzos widocznie lubiący tarzać się w błocie, nie zaprzestał dalszej bazgraniny i przed kilku miesiącami zamieścił znowu w „Über Land und Meer“ artykuł o guwernantkach na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, przechodzący wszelkie jego poprzednie oszczerstwa, pod względem nikczemności i ohydnej potwarzy rzucanej na szlachtę polską. Autor odpowiedzi na potwarcze pismidło Franzos'a, zamieszczonej w „Ausland“ na zasadzie znajomości naszych stosunków nabytej skutkiem długoletniego pobytu w królestwie polskiem i innych prowincyach, zbija punkt po punkcie zmyślone opowiadanie, przedstawiając Franzos'a jako „bezczelnego fałszerza i kłamcę, który nigdy nie był i nie zna opisywanego przez siebie kraju.“ Odpowiedź ta napisąna jest z godnością i powagą, lecz dotkliwie i niemiłosiernie chłoszcze potwarcę, sarkazmem i uszczypliwem szyderstwem. Między innemi wykazuje dowodnie że w powieści „Hexe“ zamieszczonej w „Über Land und Meer“ dopuścił się kradzieży literackiej, tłomacząc dosłownie całe ustępy z powieści Kraszewskiego „Chata za wsią.“

Wykazawszy że Franzos jest po prostu piratem literackim, przyznaje mu sarkastycznie, że dla niego, jako dla *całego Azyaty* najstosowniejszem miejscem zamieszkania byłaby Azya, gdzie jako opowiadacz bajek azyatyckich, mógłby śmiało puścić wodze swej wyobraźni i zmyślać bajki z Tysiąc Nocy i jedna o *całej Azyi*.

— Komitet zajmujący się w Krakowie urządzeniem zabytków króla Jana Sobieskiego i jego wieku, któremu przewodniczy doktór Zolla, odbywa ciągle posiedzenia. Obecnie przyłączył się do tego komitetu kanonik Polkowski i p. Juliusz Kossak. Przeprowadzona korespondencya zdaje się obiecywać bardzo świetne powodzenie przedsięwzięciu które tak gorąco popiera księżna Zuzanna Czartoryska, nie szczędząc wszelkich z swej strony starań i trudów. Otwarcie wystawy opóźniono tak z powodu że obecnie Sukiennice były zajęte. gdyż robiono w nich przygotowania na przyjęcie cesarza austryackiego, jakoteż że sprowadzenie różnych przedmiotów z rozmaitych stron świata, dłuższego wymaga czasu. Zatem na ostatniem posiedzeniu uchwalono odroczyć otwarcie wystawy do kwietnia w roku przyszłym, a że ma trwać parę miesięcy, więc będą mogły zwiedzać ją liczne zastępy podróżnych przejeżdżających w tej porze przez Kraków. Czy też uda się komitetowi dostać na Wystawę drogocenną pamiątkę po sławnym naszym bohaterze, szablę jego darowaną w tych czasach Muzeum peszteńskiemu, przez hrabinę Teresę Erdödy-Raczyńską. Pamiątka ta, wielkiej historycznej wartości, pochodzi ze zbiorów broni męża ofiarodawczyni, byłego gubernatora Fiume. Brzeszczot tej szabli wyrobiony z prawdziwej damasceńskiej stali, ozdobiony jest po obu stronach złotemi napisami. Po jednej stronie „Cave a falsis amicis, salvabo te ab inimicis“ a po drugiej „Haec meta laborum“. Przy jelcu na brzeszczocie znajduje się herb Sobieskich, nabijany złotem. Jelec wraz z obłąkiem zrobiony ze szczerego złota, odznacza się bardzo wykończoną ornamentyką. Wielkiej wartości dodaje rękojeści jej główka rżnięta z pięknego kryształu i ozdobiona 27 brylantami oraz wizerunkiem króla na koniu. Drogocenny ten zabytek umieszczony zostanie w Muzeum węgierskiem w oddzielnej szafie. Jakaż to szkoda, że tak droga pamiątka narodowa zdobić będzie Muzeum zagraniczne!

— Korespondent „*Zorzy*“ donosi do tegoż pisma, że we wsi Dębe, nad Narwią, siedmnastu tamtejszych gospodarzy włościan, mających każdy od 15 do 30 morgów ziemi, przedsięwzięli starania o uzyskanie pozwolenia władzy na założenie własnej szkoły. Włościanie ci, krzątający się gorliwie około sprawy swej oświaty, odznaczają się moralnością i wzorowem sprawowaniem. Wszyscy prawie wcale nie piją wódki, gdyż zapisali się do bractwa wstrzemięźliwości założonego w ich parafii w Zgierzu; z własnych też dobrowolnych składek odnowili niedawno swój kościół parafialny.

— W Berlinie wyszła książka p. n. *Kobiety, ich dzieje, zdolności i wychowanie*, napisana przez księdza Wilhelma Wiener. Rozległy ten przedmiot autor zawarł w dwustu stronnicach, a mimo to nie pominął nic co tylko pozostaje z nim w związku, ale też nie zabawia się po drodze, lecz prędko i prosto zmierza do celu. Unika wszelkich cytat gwałtem prawie cisnących się pod pióro piszącemu w podobnej materyi. Autor przedstawia wszelkie zawody otwarte dla kobiet niezamożnych i wyczerpująco traktuje tę kwestą, jakoteż logiczne jej następstwo —emancypacyą kobiet. Pojmuje on doskonale, że rozwiązanie tego problematu jest nader ważnem dla społeczeństwa zadaniem, gdyż chodzi tu o rozluźnienie węzłów rodzinnych a może nawet o zupełne zniszczenie rodziny. Ks. Wiener nie dopuszcza emancypacyi, której celem zrównanie praw kobiet z prawami mężczyzn w dziedzinie polityki, ale nie jest bynajmniej przeciwny gruntownemu ukształceniu kobiety, aby przestała być lalką salonową i zepsutem dzieckiem tegoczesnej cywilizacyi, a mogła natomiast stać się godną towarzyszką rozumnego i ukształconego mężczyzny. Przedewszystkiem jednak autor jako kapłan, żąda aby kobiety odbierały wychowanie chrześciańskie „ponieważ dopiero chrześcianizm oznaczył prawdziwe stanowisko kobiety w społeczeństwie.“

— Włochy bardzo uroczyście obchodziły dzień imienin swej królowej, dnia 20 z. m. Neapol szczególniej wspaniały przedstawiał widok, z powodu prześlicznego oświetlenia parku i pałacu Capodimonte, gdzie mieszkała królowa Małgorzata. Cały park oświetlono światłem elektrycznem; 200 amatorów i artystów odegrało wybornie śliczną serenadę, pod dyrekcyą znanego maestra de Giosa. Przeszło 3,000 osób uzyskało bilety wejścia do parku, a za jego kratą, prowadzącej do Capodimonte, cisnęło się przeszło 100,000 ciekawych. Najcudniejszego uroku dodawał tej uroczystości księżyc w pełni, zawisły nad Wezuwiuszem, ów księżyc partenopejski, stokroć piękniejszy i jaśniejszy od londyńskiego słońca. Kto nie zna Neapolu nie może mieć pojęcia o tym wieczorze, czarownej, niewysłowionej piękności, przewyższającej marzenia najbujniejszej wyobraźni.

— Włochy muszą teraz szczerze winszować sobie że nie wszystkie pokasowano w nich klasztory, gdyż jeden z takich właśnie oddaje im nieocenioną przysługę przez osuszanie bagien pontyjskich. Zakonnicy francuzcy, trapiści, na początku tego wieku, założyli klasztor w miejscowości zwanej Trzy Fontany, oddalonej o 3 do 4 kilometrów od bramy S. Pawła w Rzymie. Posiadają oni rozległe, kilkomilowe przestrzenie jałowych gruntów w Agro Romano; od pewnego czasu zaczęli uprawiać na nich na wielką skalę drzewa zwane *eukalyptus*. Nie mogąc sami podołać zadaniu, zrobili podanie do rządu, aby im dozwolił używać do tej pracy więźniów skazanych do ciężkich robót—do czego tenże przychylił się bardzo chętnie.

Wysłano zatem do Trzech Fontan 200 złoczyńców skazanych na ciężkie roboty, do rozporządzenia trapistów, którzy płacą ministerstwu wyznaczone dla nich zarobne. Pobudowano w polu wielkie baraki, w których spędzają najgorętsze dnia godziny i spożywają skromny swój posiłek, zupę i 780 gramów chleba. Dla robotników innych krajów pożywienie to byłoby bardzo niedostateczne, ale Włosi w ogóle mało jedzą a wieśniacy szczególniej przywykli tam do bardzo nędznego pożywienia. Jako prezerwatywę od febry dostają co rano dobrą kawę, a na wieczór odwar z liści eukalyptusu. Widać że odpowiednie pożywienie i zachowanie się mogłoby skutecznie walczyć z malarią, bo dotąd żaden z robotników pracujących pod nadzorem trapistów, nie stał się ofiarą tej strasznej plagi.

Zakonnicy wytykają linie a złoczyńcy zamieniają je w długie i głębokie rowy, w które następnie zasadzają eukalyptusy, — jeźli plantacya zamierzona powiedzie się, za lat trzy zabójcza ta i opustoszała

przestrzeń zamieni się w piękny las zielony, który ją zarazem ozdobi i uzdrowi; gdyż, jak wiadomo, drzewa te mają tę podwójną, zaletę, że nie dopuszczają malarii i bardzo prędko rosną.

— Dzienniki angielskie podają że niedawno na pokładzie angielskiego parowca Boven kursującego stale między Australią a portem chińskim Hongkong, odkryty został straszny spisek. Między podróżnymi którzy wsiedli na ten statek w Singapore znajdowało się 26 korsarzy chińskich, którzy w swoich podróżnych tłomokach mieli ukryte 25 funtów prochu, 11 nabitych rewolwerów i inną jeszcze broń. Zbrodniarze ci ułożyli sobie plan, że gdy wypłyną na pełne morze, wymordują całą załogę i podróżnych, a następnie zrabowawszy wszystko co tylko znajduje się na okręcie, spalą go poczem sami na łodziach okrętowych dopłyną do wybrzeży chińskich.—Boven miał na pokładzie 10,000 funt. szter. w gotówce, oraz 313 Chińczyków powracających do ojczyzny ze znacznym zarobkiem. W porozumieniu z korsarzami, pewna liczba bark z ich wspólnikami oczekiwała na wybrzeżach pod Hongkongiem. Szczęściem jeden z podróżnych Chińczyków posłyszał przypadkiem rozmowę dwóch spiskowych i doniósł o niej kapitanowi okrętu, który natychmiast zarządził odpowiednie środki. Powiązanych korsarzy odstawiono do Hongkongu, gdzie będą stawieni przed sądem.

— Pułkownik Flattors, przewodnik wyprawy, której celem było zbadanie na gruncie możliwości przeprowadzenia przez Saharę kolei żelaznej, powrócił już do Marsylii i twierdzi że projekt ten da się wprowadzić w wykonanie. Kolej rozpoczynałaby się o 200 kilometrów na południe od El Gollo. Pan Flattors udziela także bardzo wiele nader zajmujących szczegółów o Saharze, zupełnie sprzecznych z dotychczasowemi poglądami. Woda wszędzie znajduje się tam w dostatecznej ilości, tak że wyprawa nigdy dłużej nad trzy dni nie była pozbawioną świeżej wody; w samym zaś środku Sahary znaleziono wielkie jezioro, zupełnie dotąd nieznane Europejczykom, Jezioro to obfituje w ryby i otoczone jest bogatą roślinnością. Grunt po większej części kamienisty, znajduje się jednak przestrzeń obejmująca z 80 kilometrów, przeważnie wapnista. Cała Sahara przepełniona jest rozmaitemi zwierzętami a szczególniej antylopami. O krajowcach a szczególniej Towaregach, pułkownik Flattors daje bardzo pochlebne sądy; nadmienia także iż sól jest tam nadzwyczaj droga: za sto kilogramów dają czterech niewolników, a za jednego płaci się tam około 900 fr. zatem 100 kilogr. soli kosztuje 3,600 fr. Piękna sumka!

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie ze stanikiem z baskiną. Do spódnicy z materyi „faille" ciemniejszego koloru, ogarnirowanej wązkiemi plisowanemi falbankami i bufkami, stanik i draperya tunikowa dana jest z satynki gładkiej i deseniowej koloru heliotropów. Wypustki przy falbankach, staniku z baskiną i tunice z jasnego atłasu.

Ubranie z tuniką z przodu przemarszczaną. Suknia z żółtawo białego kaszmiru ozdobiona ażurowo haftowanemi szlakami, pod które podkłada się atłas ponsowy, z takiegoż atłasu jest wązka plisowana falbanka u dołu spódnicy, kołnierz i kokardy. Stanik w górze i z brzegu przodów marszczony.

Nowe wydawnictwa.

Wydawnictwa E. Orzeszkowej i S-ki—Sąd honorowy, komedya w trzech aktach przez Edwarda Lubowskiego.

Kalendarz dla młodego wieku na rok przyszły 1881.—Cena kop. 50.

Święty Feliks patron dziatek—opowiadanie dla dzieci przez O. Prokopa kapucyna. — Cena w ozdobniejszem wydaniu z rycinami kop. 60 — w mniej ozdobnem kop. 20.

Śpiewnik polski dla ochronek, szkół ludowych i dla użytku każdej rodziny pragnącej na rozwinięcie uczucia swej dziatwy działać za pomocą muzyki. Ułożył Jan Czubski nauczyciel przy seminaryum męzkiem we Lwowie.—Część pierwsza obejmuje pieśni 52 na jeden i dwa głosy ułożonych przez różnych autorów. Melodye bardzo piękne, wierszyki starannie wybrane.

Rocznik Tow. osad rolnych i przytułków rzemieślniczych za rok 1879 z trzema drzeworytami.

Dzieł Juliana Bartoszewicza wyszedł tom ósmy i zawiera studya historyczne i literackie, w których mieszczą się cenne bardzo prace drukowane w części w różnych pismach peryodycznych a w części nie wydane jeszcze na widok publiczny. Tytuły są następujące: — Helena Iwanówna żona Aleksandra Jagiellończyka.—Stary poemat o Gdańsku.—Krystyna Poniatowska jako przyczynek do dziejów Braci czeskich w Polsce. — O nuncyuszach w Polsce. O dochodach króla Stanisława.—O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 roku.—O nowem wydaniu sag skandynawskich.—Kniaź Kurbski na Wołyniu. Summy neapolitańskie.—Kronika pałacu Krasińskich.—Podróż Regnarda po Polsce.—O biblii Reimskiego.—Mikołaj Jemiołowski jako historyk.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Br. B. Wierszyk p. t. Młodzian w zadumie, dla braku formy nie może być drukowanym. Myśl poczciwa, serdeczny żal zawsze godzien pochwały, ale wypowiedziane poetycznem słowem, wymagają spełnienia pewnych warunków, bez czego strasznie ubogo przedstawiają się.

Panu Ignacemu S. Opiewanie boleści serca godne jest poetycznej formy, ale ukochana która się zgodziła aby ją inny przycisnął do łona, nie jest godną ani żalu za nią i tęsknoty, ani jęku duszy w słowie wypowiedzianem. Z tych powodów wierszyk nie może być drukowany, a szkoda bo forma w nim wdzięczna i wiele prawdziwie serdecznego uczucia.

Autorowi Pieśń młodzieży i Anioł młodości. Prosimy o adres, w celu bliższego porozumienia.

Panu W. w Ostrołęce. Prenumerujący tak 'Tygodnik Mód jak Przyjaciela Dzieci wprost w Redakcyi, nigdy na zawód niedochodzenia numerów nie są narażeni. Zwłoka w tym względzie wynika jedynie z winy pośredników a nigdy Redakcyi.

Pani Maryi K. w Stepie. Ziarno i numera powtórnie wysłano: pozostałe kop. 15, oddano choremu i bardzo biednemu ojcu kilkorga dzieci.

Od Redakcyi.

W końcu kwartału trzeciego przypominamy ponowienie prenumeraty na kwartał następny, którą najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce. Wszelkie inne drogi są często bardzo zawodne, jak tego ciągłe odbieramy dowody w skargach licznie zanoszonych.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Zawiadomienie.

W odpowiedzi na zapytanie Korespondentów, podaję do wiadomości, że pan *Jan Hennel mechanik* zamieszkały *w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej № 63*—w pobliżu Ogrodu Saskiego, przyjmuje do naprawy maszyny do szycia wszelkiej konstrukcyi. Nadsyłane z prowincyi winny być pomieszczone w pudłach, okryte płótnem i dobrze opakowane sianem, aby zbyt wielkiemu w podróży nie uległy wstrząśnieniu; pedałowe zaś należy odśrubować od stołu i same nadsyłać—przytem uprasza się o adres wyraźnie napisany.

Za dobre wykonanie naprawy, umiarkowaną cenę i uczciwy stosunek z interesantem, poręcza

J. K. Gregorowicz

Redaktor Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ: Варшава 9 Сентября 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

T. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

Zawiodły mnie moje oczekiwania; nie znalazłam nic tajemniczego w tym tajemniczym pokoju. Zobaczyłam tylko gabinet średniej wielkości, a w nim meble dębowe wybite safianem. Pod jedną ścianą stała duża kanapa, i to nasunęło mi na myśl pytanie, czy kuzyn Ulryk przywiązywał do niej tych pacyentów którym urzynał ręce lub nogi, co potem robił z krwią która przy tem płynęła, a tem więcej z odjętemi członkami. Czy Wheler był przy tem i czy przytrzymywał tych biedaków? a nakoniec jak ci nieszczęśliwi wracali następnie do domu.

Był tam także wielki fotel; tu, pomyślałam, sadzają zapewnie osoby przychodzące po to aby im wyrywano zęby. Kuzyn Ulryk byłby zapewnie zgorszony podobnem przypuszczeniem, ale ja miałam tak mało wyobrażenia o obowiązkach lekarza, że mi się to zdawało rzeczą bardzo naturalną. Biedni chorzy! Jakże litowałam się nad nimi, a zarazem jak mnie to dziwiło że tak kanapa jak fotel były tak czyściutkie, i zachowywały pozór tak niewinny, pomimo tylu strasznych rzezi których były świadkami a poniekąd i wspólnikami.

Jednak te błędne wyobrażenia nie osłabiły mojej wiary w dobroć kuzyna Ulryka, przeciwnie podziwiałam go że dokonywa tak wielkich rzeczy, i byłam pewną że czyni wszystko co może aby zmniejszyć cierpienia swych pacyentów, i że inny doktór, naprzykład pan Austin, męczyłby ich daleko więcej.

Po dokładnem obejrzeniu fotela i kanapy, zwróciłam uwagę na biórko, rzeczywiście bardzo piękne, wykończone starannie i ozdobione bronzem i słoniową kością, na którym leżały papiery tak zapisane jak zupełnie czyste.

Znajdowało się także w gabinecie dużo książek jedne z nich leżały na dębowych półeczkach, a inne były rozrzucone na biórku; wzięłam jedną z nich w rękę i zaczęłam przeglądać z wielkiem zajęciem. Nigdy jeszcze nie widziałam książki ozdobionej tak dziwacznemi sztychami, zaczęłam śmiać się głośno patrząc na nie, i chciałam odgadnąć koniecznie co przedstawiały, ale nie mogłam wcale zrozumieć tekstu naszpikowanego jakiemiś barbarzyńskiemi wyrażeniami, całkiem mi nieznanemi. Zniecierpliwiona, rzuciłam książkę, a zaczęłam rysować piórem na listowym papierze, portrety różnych mieszkańców naszego domu. Potem przysunęłam do siebie trzy flaszeczki i zaczęłam przypatrywać im się uważnie; były to flaszeczki z białego szkła starannie opieczętowane i napełnione wodą w której pływały jakieś drodne nieznane mi przedmioty. „Musi to być jakiś rodzaj pikli,“ pomyślałam; ale zadziwiło mnie to że kuzyn Ulryk trzyma w swoim gabinecie pikle, do swego wyłącznego użytku, lecz zaraz wytłomaczyłam to sobie tem przypuszczeniem, że może czasem jada w tym pokoju śniadanie.

Jednak pikle nie są rzeczą tak zajmującą aby im się można było przypatrywać długo, a ja spostrzegłam właśnie coś takiego co mi się wydało prawdziwym skarbem; była to trochę wysunięta szuflada, cała wyklejona aksamitem, i zawierająca w sobie mnóstwo prześlicznych i błyszczących rzeczy, z których każda leżała w umyślnie zrobionej dla siebie przegródce.

Wysunęłam zupełnie szufladę, i zaczęłam przyglądać się wszystkiemu z najgłębszem zajęciem; nigdy jeszcze nie zdażyło mi się widzieć nic podobnego.

Były tam nożyczki długie i wązkie, jakby wycieńczone długim postem, były także grube, szerokie i krótkie, jakby skarłowaciałe; inne znów zdawały się spaczone, a inne jeszcze tak pokrzywione że mi korkociąg przypominały. Znajdowały się tam także druty różnych kształtów i rozmiarów, kłębuszki jedwabiu, cienki drucik, śliczne małe piłki, ostre i spiczaste noże, coś podobnego do świderków, słowem takie mnóstwo rozmaitych stalowych przedmiotów, że nie mogłam dość napatrzyć się na nie, a w końcu przyszło mi na myśl, że chyba kuzyn Ulryk zajmuje się w wolnych chwilach szyciem jak kobieta, lub też świdruje i piłuje jak cieśla.

Kiedy przyglądałam się tym wszystkim przedmiotom które wysypałam na biórko, przyszła mi myśl genialna, że mogą doskonale zastąpić grę zwaną kardynały.

Miałam taką grę w Saltpool, i bawiąc się nią spędzałam czas bardzo przyjemnie, ale wyjeżdżając tak nagle nie zabrałam jej z sobą równie jak innych zabawek. Jakże to miło będzie zastąpić ją teraz temi tak ślicznie błyszczącemi przedmiotami! Wprowadziłam natychmiast mój pomysł w wykonanie; zsunęłam te wszystkie przedmioty tak aby jeden stos utworzyły, pozostawiwszy sobie osobno jeden najpodobniejszy do haczyka, usiadłam na krześle, i z zapałem zabrałam się do dzieła.

Nie umiem powiedzieć jak długo się tak bawiłam ale to wiem że zajęta tem jedynie aby podnieść każdy z osobna przedmiot nie poruszywszy innych, zapominałam o całym świecie i zapewnie trwałoby to jeszcze długo, gdybym nie usłyszała nagle głosu kuzyna Ulryka, który zawołał z najgłębszem zadziwieniem, jakby nie dowierzał własnem oczom.

— Teodora tutaj!

— Teodora! Teodora w twoim pokoju! odezwał się ktoś jeszcze tak cierpkim tonem, że już po tem samem łatwo mi było poznać głos kuzynki Maryanny; podniosłam wtenczas głowę i zobaczyłam że oboje ze zdumieniem patrzą na mnie.

Zarumieniłam się bardzo, bo gdybym nawet pierwej nie poczuwała się do winy, sam ton ich głosu kazałby mi się domyśléć, że źle postąpiłam. W minutę później, kuzynka Maryanna, (która dzięki tak ważnej okoliczności odważyła się przestąpić próg tajemniczego pokoju) przemówiła do mnie w taki sposób, że nie mogłam już wątpić o wielkości mego przewinienia.

— Teodoro! zawołała. Czy to być może abyś się poważyła wejść do tego pokoju. Czy nie wiesz że tu nie wolno wchodzić nikomu bez pozwolenia? Nawet ja wchodzę tu bardzo rzadko, i to tylko w razie gdy mnie Ulryk sam wezwie do siebie.

— Mój Boże! spojrzyj tylko Ulryku co ta dziewczyna tu robiła, wykrzynęła spostrzegłszy czem zajmowałam się przed chwilą. Powyciągała wszystkie twoje instrumenta i porozrzucała je na stole.

— Bawiłam się tem jak kardynałami, rzekłam tłomacząc się, i westchnęłam na myśl że nie będę mogła dokończyć partji.

— Jak kardynałami! I nie lękałaś się użyć do tego instrumentów, których żaden służący nie ośmieliłby się dotknąć, z obawy aby nie stracił miejsca. Bawiłaś się instrumentami kosztującymi setki, setki funtów szterlingów! Doprawdy ta dziewczyna musi być idiotką!... A co zrobiła z twoim papierem Ulryku; zabazgrała tyle świartek, poprzerzucała książki! O! ty bezrozumna, zła i nieposłuszna dziewczyno, powinnabyś wstydzić się samej siebie.

— Nie zabroniono mi nigdy dotykać się tego, odpowiedziałam trochę opryskliwie, pomimo że mi było bardzo przykro że obraziłam kuzyna Ulryka, który nic mi wprawdzie nie powiedział, ale odwrócony od nas siedział przed kominkiem.

— Mogłaś domyślić się sama że ci tego czynić nie wolno, nawet bez wyraźnego zakazu, dodała z uniesieniem. Sama wiedziałabyś o tem, gdybyś miała choć trochę rozsądku, gdybyś...

— Maryanno, przerwał kuzyn Ulryk, ciągle od nas odwrócony, przestań już, proszę cię; nie chcę już więcej o tem słuchać.

— Nie chcesz? rzekła zadziwiona; czy widziałeś co ona zrobiła? powyciągała z szuflady wszystkie twoje instrumenta.

— Wheler poukłada je napowrót.

— Musiała je uszkodzić potrącając jedne o drugie.

— Gdyby i tak było, nie stanowiłoby to jeszcze niepowetowanej straty.

— Zabazgrała tyle papieru listowego.

— Znajdzie się jeszcze inny w sklepach.

Mówił tak łagodnie że uczułam się spokojniejszą, ale na kuzynkę Maryannę wywarło to całkiem odmienne wrażenie, spoglądała czas jakiś na brata nie śmiąc już nic powiedzieć, potem rozpłakała się głośno i wybiegła z pokoju.

Wtenczas przyszło mi na myśl że musiałam dopuścić się cięższego przewinienia niż mi się dotąd zdawało, zbliżyłam się więc do kuzyna Ulryka, i rzekłam cicho biorąc go za rękę.

— Przepraszam, bardzo przepraszam; nie wiedziałam że czynię coś tak złego wchodząc do tego pokoju, doprawdy nie wiedziałam, kuzynie Ulryku.

— Ale teraz już wiesz o tem Doro, i trzeba abyś nie zapominała tego nigdy. Porozrzucałaś wszystkie moje instrumenta, i trzeba będzie stracić dużo czasu, chcąc każden z nich położyć na właściwem miejscu. Ten gabinet nie jest miejscem stosownem dla panienek, ani dla nikogo zresztą, wyjąwszy osób które ja sam tu wpuszczam. Wszak będziesz pamiętać o tem?

— Więc nigdy nie będzie mi wolno wejść tutaj? zapytałam żałośnie; nigdy, choćbym nawet przyrzekła że będę siedzić spokojnie i niczego się nie dotknę.

— A dla czegóż chciałabyś tu przychodzić, moje dziecię?

— Dla tego że ty tu jesteś, kuzynie Ulryku, a ja lubię patrzyć na ciebie i być razem z tobą. O! pozwól mi przyjść tu choć czasem, tylko na chwilkę, dodałam pieszczotliwie; ale on zaczął się śmiać wysunął swą rękę z moich, i oświadczył mi żartobliwie, że gdybym jeszcze poważyła się kiedy przestąpić próg tego pokoju, będę musiała za karę połknąć łyżkę bardzo niesmacznej mikstury. Potem kazał mi pójść do kuzynki Maryanny, i być jej posłuszną, jak to czynić powinna grzeczna i dobra panienka.

— Ale powiedz mi pierwej, kuzynie Ulryku, że nie gniewasz się na mnie, że mi przebaczasz, rzekłam opierając się na jego ramieniu, i podnosząc twarz ku niemu.

— Tak, tak, odpowiedział prędko, ale mnie nie pocałował jak się tego spodziewałam, i przykro mi było że doznałam takiego zawodu.

Zastałam kuzynkę Maryannę w małym saloniku na pierwszem piętrze, płaczącą jeszcze i użalającą się przed mistress Pinner, że wszystko uległo smutnej zmianie od dnia przybycia tej dziewczyny, ale spostrzegłszy mnie zatrzymała się nagle, a chcąc wynagrodzić to sobie postanowiła dokończyć kazanie które brat przerwał jej przed chwilą. Jednak wyznaję że wszystkie jej uwagi nie uczyniły na mnie żadnego wrażenia. Cóż mnie to mogło obchodzić, skoro kuzyn Ulryk mi przebaczył.

Od tego czasu trzymałam się ściśle jego rozkazu, i nie weszłam już nigdy do jego gabinetu, ale za to siadałam często na macie leżącej przy drzwiach, dla tego jedynie aby kuzyn Ulryk wchodząc do swego gabinetu, przemówił do mnie słówko, lub położył rękę na mej głowie.

Rozpoczęła się już prawdziwa wiosna; słotny marzec ustąpił miejsca ciepłemu i pogodnemu kwietniowi, nawet w mieście można było dostrzedz gdzieniegdzie ślady przebudzania się natury ze snu zimowego, i wszystko zdawało się zachęcać mnie do korzystania z pięknych dni, i budziło pragnienie odbycia tak swobodnej przechadzki jakiej używałam codzień w Saltpool. Używałam tam zupełnej wolności; moje wycieczki z Betsy Mitchel (której towarzystwa często żałowałam) i z innemi dziećmi były tak nieograniczone, i ulegały tak małym zastrzeżeniom, że moje systematyczne i sztywne przechadzki z mistress Pinner, nie trwające nigdy dłużej jak godzinę i skierowane zawsze w jedną stronę nie mogły mi już wystarczyć. Przychodziła mi nie raz ochota wyzwolić się od towarzystwa tej służącej równie nudnej, wymuszonej i sztywnej jak jej pani, i odbyć długą i swobodną przechadzkę po wałach lub w koło marsowego placu, nie będąc zmuszoną słuchać ciągłych utyskiwań mistress Pinner że nie umiem zachować się stosownie idąc przez ulicę.

Nadszedł nakoniec dzień w którym pokusa stała się zbyt silną abym jej się oprzeć mogła. Było to przy końcu kwietnia, w jeden z tych dni tak ciepłych i pogodnych, że kominek przestaje już przyciągać nas do siebie, a za to zbliżamy się chętnie do otwartego okna. Oddychałam z przyjemnością świeżem powietrzem w czasie mej porannej przechadzki i prosiłam mistress Pinner aby ją przedłużyła choć o kilka minut, ale nie chciała nawet słyszeć o tem, i posłuszna wydanej komendzie, odprowadziła mnie, czyli raczej przyciągnęła do domu, a następnie zdjęła ze mnie moje spacerowe ubranie.

Po drugim śniadaniu, kuzynka Maryanna wyszła z domu nie pomyśławszy nawet o tem aby mnie zabrać z sobą. Usiadłam wtenczas w oknie i zaczęłam przyglądać się przechodniom i pięknym kwiatom które noszono na sprzedaż; a po pewnym czasie pomyślałam że nic mi nie przeszkadza pójść za przykładem kuzynki, ani też zwiedzić miasta w którem obecnie mieszkałam. Nie potrzebowałam już przecie niczyjej pod tym względem opieki; alboż to w Saltpool nie wchodziłam na najwyższe drzewa aby się przyjrzéć ptaszkom siedzącym w gniazdku, czy to nie wdrapywałam się na tak strome skały że chcąc dostać się na ich wierzchołki musiałam zdejmować trzewiki i pończochy? Zresztą chodząc z tą nieznośną Pinner, nie poznam nigdy ani miasta, ani też okolic jego; chodziła zawsze wolnym, miarowym krokiem, nie dozwoliła mi zatrzymywać się przed wystawami magazynów i sklepów, mówiąc że to oznacza gminną ciekawość, i nie pozwalała mi zdejmować rękawiczek które zawadzały mi na ręku.

Tak, chciałam przespacerować się choć raz bez rękawiczek, gdyby nawet kuzynka Maryanna miała połajać mnie za to. Co do kuzyna Ulryka, ten z pewnością gniewać się nie będzie; ponieważ nie ma to nic wspólnego z jego instrumentami.

Pobiegłam po kapelusz, który Pinner schowała już starannie do szafy, włożyłam go byle jak na głowę, zeszłam cicho ze schodów i wysunęłam się na ulicę. Ah! jakąż przyjemność sprawiła mi ta myśl że będę zupełnie swobodną choć na czas krótki.

Nie wiedziałam tylko w którą udać się stronę. Jedna z ulic prowadziła na wybrzeże i na plac marsowy, znałam je aż nazbyt dobrze gdyż były celem moich codziennych przechadzek, druga wiodła do najpiękniejszej ulicy miasta, na którą zapewnie udała się kuzynka Maryanna, gdyż tam były najpiękniejsze sklepy, a ona wyszła za sprawunkami, wybrałam więc trzecią idącą między temi dwoma i puściłam się nią prędko podskakując wesoło; byłam tak szczęśliwa że mi się udało wymknąć z domu. Słońce świeciło tak pięknie, okna sklepów tak ślicznie były postrojone, a wszystkie twarze zdawały się wyrażać takie zadowolnienie, że to wszystko rozweseliło mnie do tego stopnia, że zaczęłam gwizdać podskakując ciągle, jak to czyniłam dawniej w Saltpool, za życia matki.

Wybrana przezemnie ulica była szeroka i piękna a choć znajdowały się na niej tylko drugorzędne magazyny i sklepy, mnie wszystko zachwycało, i przyglądałam się z prawdziwą przyjemnością porozkładanym w oknach zabawkom, bieliźnie, strojom i wszystkim w ogóle towarom.

Po niejakim jednak czasie ulica zwężyła się znacznie i nie było już tak pięknych sklepów, ale ja szłam coraz dalej lekka i swobodna jak ptaszek, zbyt ucieszona moją wolnością abym mogła zastanawiać się nad tem co mnie otaczało.

Przeszłam tak kilka ulic zanim pomiarkowałam się że doszłam do tak zwanej niższej części miasta. Nędzne sklepy znajdowały się w nędzniejszych jeszcze domach. Obrudzone kobiety, piastujące zamorusane dzieci, przyglądały mi się z widocznem zadziwieniem, tak że to aż zwróciło moją uwagę, i pomyślałam że lepiej będzie jeżeli już wrócę do domu, zawróciłam więc i poszłam napowrót tą samą, jak mi się zdawało drogą; omyliłam się niestety! i czem dalej szłam tem moja wycieczka stawała się przykrzejszą, a nawet niebezpieczniejszą dla mnie. Ulice były coraz węższe i brudniejsze; często mokra bielizna, rozwieszona na sznurach porozciąganych od domu do domu, uderzała mnie po głowie. Koło mnie przechodziły na pół odziane kobiety; ze wszech stron rozlegały się klątwy, złorzeczenia i śpiewy pijaków. W końcu pijany majtek bełkoczący coś niezrozumiale zatoczył się, upadł, i o mało co mnie nie przewrócił, a jednocześnie jakiś obdarty i wstrętnej powierzchowności ulicznik, zaczął skakać koło mnie, przedrzeźniać moją obawę, a nie przestając na tem chwytał mnie co chwila za długie rozpuszczone włosy.

Dotąd byłam tylko niespokojna, ale teraz przelękłam się tak strasznie że krzyknęłam i zaczęłam uciekać o ile mi sił starczyło.

Nie umiem oznaczyć jak daleko i jak długo tak biegłam, to tylko wiem że zatrzymałam się wtenczas dopiero gdy mi zupełnie tchu zabrakło. Obejrzałam się lękliwie dokoła, czy nie zobaczę mego prześladowcy, i spostrzegłam z prawdziwą radością, powóz kuzyna Ulryka przed jakimś nędznym domkiem. Doznałam takiego uczucia jakiego doznawać musi majtek przybywający szczęśliwie do portu po przebytej burzy. Tak, to jego *brougham*, poznałam te śliczne gniade konie które zawsze pragnęłam pogłaskać patrząc na nie przez okno, poznałam nadewszystko tego głupowatego furmana, który mi się nigdy nie ukłonił jeżeli przechodziłam koło niego podczas mej rannej przechadzki, choć przecie znał mnie doskonale.

Byłam zbyt przerażona aby myśl spotkania się w taki sposób z kuzynem Ulrykiem mogła obudzić we mnie jakąś obawę, i nie tracąc chwili czasu przybiegłam do powozu, i wskoczyłam do niego z błogiem zadowolnieniem.

Powóz był pusty, jak się zresztą spodziewałam tego, leżała w nim tylko teka napełniona gazetami i listami, i drewniana trąbka (jak nazywałam stetoskop) ale kuzyn Ulryk nie wyszedł jeszcze z domu, przed którym czekał jego powóz; wyjdzie zapewnie za chwilę pomyślałam i znajdzie mnie tu niespodzianie. Ta myśl zaniepokoiła mnie trochę; co też on powie na tę moją samowolną wycieczkę.

Teraz kiedy już byłam pewna że mnie nic złego spotkać nie może, i kiedy mogłam zastanowić się lepiej nad mojem położeniem, zaczęłam trapić się tą myślą że kuzyn Ulryk rozgniewa się na mnie; dla tego też niespokojnie, z pałającemi policzkami, oczekiwałam chwili w której zbliży się do powozu. Zobaczyłam go nakoniec wychodzącego z dwoma innymi gentlemanami, których pożegnał uściśnieniem ręki i otworzył drzwiczki.

— Teodora! zawołał z takimże samem zadziwieniem jak wówczas gdy mnie zobaczył w swym gabinecie; tylko że teraz zdawał się być więcej przerażonym jak wówczas.

— O! kuzynie Ulryku, odpowiedziałam drżącym głosem, ja nie miałam zamiaru pójść tak daleko, chciałam tylko przejść się trochę, i zabłądziłam.

— Do domu! zawołał na furmana; potem usiadł przy mnie i milczał ciągle; gdy jechaliśmy szybko przez ciasne i brudne ulice.

— Czy bardzo gniewasz się na mnie, kuzynie Ulryku? zapytałam się nieśmiało, widząc że nie chce mówić do mnie.

— Czy się gniewam? Nie, ale zrobiłaś mi przykrość. Czy wiesz gdzie byłaś? Czy wiesz że znajdowałaś się w najbrudniejszej i najbardziej osławionej części miasta, gdzie żadna przyzwoita kobieta nie chciałaby pójść nigdy, gdzie ja sam znajduwałem się tylko wypadkiem. Czy wiesz coby cię mogło spotkać, gdybyś mnie tu nie spotkała? Ale nie; skądże mogłabyś to wiedzieć. Jakże Pinner mogła pozwolić ci wyjść samej?

— Ja nie prosiłam jej o pozwolenie, odpowie-

działam spuszczając głowę. bo w Saltpool chodziłam wszędzie sama. Kuzynka Maryanna nie bierze mnie nigdy z sobą, a Pinner jest tak nudna i ograniczona.

Nie odpowiedział mi nic, tylko odwrócił się westchnąwszy głęboko, i zaczął wyglądać przez okno toczącego się szybko powozu. Nie śmiałam się już odezwać, przekonana że teraz już naprawdę obraziłam mego dobrego kuzyna, i zasmuciłam się bardzo a kiedy przyjechaliśmy do domu, i zaprowadził mnie do kuzynki Maryanny, zdaje mi się że drżałam z obawy po raz pierwszy w życiu.

— Więc Teodora wyjeżdżała z tobą Ulryku? odezwała się tonem zdradzającym silne niezadowolnienie, i to jeszcze tak ubrana? Zdaje mi się że byłbyś mógł uwiadomić mnie o tem przez kogoś ze służących; szukaliśmy jej wszędzie, i w końcu sądziłam że gdzieś zginęła.

— Tak też było rzeczywiście, a przynajmniej tak być mogło, odpowiedział; znalazłem ją na Fish-Alley, to jest w najbrudniejszej części miasta, gdzie mogliby ją porwać, obedrzeć, lub wyrządzić jej najcięższą krzywdę. Więc to w taki sposób opiekujesz się nią Maryanno?

— Nie poczuwam się do winy, odpowiedziała, Teodora musiała wyjść pokryjomu. Czy ja mogę odpowiadać za to że jest tak nieposłuszną i swawolną!

— My oboje zasłużyliśmy na naganę, odpowiedział ze smutkiem Ulryk.

— O! nie, kuzynie Ulryku, zawołałam zawstydzona i zmartwiona tem że się tak oskarża. Nie ma w tem ani twojej ani też niczyjej winy, tylko moja własna. Wiedziałam że mi nie wolno wychodzić bez mistress Pinner; ale dzień był tak piękny, nie miałam żadnego zajęcia, a już tak dawno pragnęłam użyć dłuższej przechadzki.

— Spodziewam się że teraz uwierzysz przecie, rzekła miss Maryanna z szyderskim uśmiechem. Słyszałeś jej własne słowa, wiedziała że źle czyni a jednak nie powstrzymało to ją wcale. Trudno wymagać abym nie odstępowała na krok panienki w jej wieku.

— Czemuż nie postarałaś się o to aby miała jakieś odpowiednie dla siebie zajęcie? Zdaje mi się że prosiłem cię o to.

— Kupiłam też dla niej kilka książek i wszystko co może być potrzebne do robót kobiecych, ale umie tylko czytać i pisać, i to jeszcze nie szczególnie, a o szyciu i tym podobnych robotach nie ma prawie wyobrażenia.

To, aż nazbyt niestety, usprawiedliwione oskarżenie, wywołało gorący rumieniec na moje policzki, nie wstydziłam się że mnie łajano za popełnione przezemnie niedorzeczności, ale czułam żywo brak mego wykształcenia.

— Czy tak jest rzeczywiście? zapytał kuzyn Ulryk patrząc na mnie.

— Tak, nic nie umiem, odpowiedziałam otwarcie pomimo że łzy napełniły mi oczy, bo mnie nic nie nauczono, ale byłabym się chętnie uczyła gdybym miała do tego sposobność.

— Dobrze, będziesz się uczyć Doro, odpowiedział; nasza to wina że dotąd nie pomyśleliśmy o tem. Nie mogę teraz pozostać dłużej, Maryanno, ale pomówimy o tem jeszcze dziś wieczorem. Obetrzyj oczy, moje dziecię, w moim domu płakać nie wolno.

Kuzyn Ulryk powiedział te słowa wychodząc już z pokoju, a za chwilę wsiadł napowrót do powozu. Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, spojrzałam nieśmiało na kuzynkę Maryannę, spodziewając się że mi powie jakieś słówko dowodzące że się już nie gniewa na mnie, ale jej spojrzenie zwrócone na mnie, nie wyrażało bynajmniej przyjaznych uczuć.

— Idź do mistress Pinner, rzekła zimno; zawsze z twego powodu muszą być jakieś nieporozumienia i przykrości. A gdy spełniłam jej życzenie wolno, ociągając się, i, wyznaję to z żalem, z pewnem lekceważeniem, usłyszałam że mówiła do siebie: Byłoby stokroć lepiej gdyby jej był nie spotkał nigdy w życiu; założyłabym się że znów, tak samo jak tamta zawróci mu głowę.

VIII.

Dalszy ciąg pamiętnika sieroty.

Tak kuzyn Ulryk jak kuzynka Maryanna już ani jednem słówkiem nie przypominali mi mego wybryku, ale niezadługo dowiedziałam się jakie z tego powodu powzięli postanowienie.

W tydzień może po opowiedzianych wydarzeniach, zawezwano mnie do sali jadalnej, gdzie przedstawiona zostałam pewnej nieznajomej pani. Mogła mieć lat pięćdziesiąt, miała dość poważną, ale nieco napuszoną minę, nazywała się Penfold. Kuzynka Maryanna przedstawiła mnie jej w te słowa:

— Miss Penfold, przedstawiam ci miss Fleming, o której z przykrością wyznać muszę że nic a nic nie umie; pragnęlibyśmy więc aby uczyła się bardzo pilnie dla odzyskania straconego czasu. Pozostawiamy pani rozkład nauk, z tą nadzieją że jej jak najmniej czasu do próżnowania zostawisz.

Miss Penfold odpowiedziała przymilając się i z uśmiechem który jakoś zdawał mi się nienaturalnym: „Że jest pewną iż uczennica jej z taką pilnością uczyć się będzie iż jak najlepsze pomiędzy nami nastąpi porozumienie, pokochamy się wzajemnie, i że ja nie zapragnę pewno więcej czasu na zabawę, niż mi go wyznaczą moi łaskawi i pobłażliwi opiekunowie “

Nic a nic tego wszystkiego nie rozumiałam, i wlepiwszy zadziwione oczy w kuzynkę Maryannę, spojrzeniem nieme zadawałam jej pytanie; raczyła mnie objaśnić.

— Doro, ja i kuzyn Ulryk prosiliśmy tej pani aby zajęła się twojem ukształceniem; zgodziła się na to uprzejmie i przychodzić będzie codziennie; od dziewiątej rano do piątej wieczorem będziesz się uczyć od niej różnych nauk i spodziewam się że będziesz pilna i uważna.

— O! ja pewna tego jestem, rzekła zachęcająco miss Penfold.

Wszystko to zaskoczyło mnie najzupełniej niespodziewanie. Byłam szczerą mówiąc że pragnę się uczyć, ale myślałam że dla nabycia nauki chodzi się dwa razy dziennie do jakiejś mniej więcej odległej szkoły czy pensyi, i to mnie bardzo zachęcało — ale za to myśl siedzenia kilka godzin dziennie w pokoju, w którym kuzynka Maryanna spędzała ranne godziny, niemiłe na mnie robiła wrażenie gdyż był to gabinet posępny, okno wychodziło na dziedziniec i prócz studni nic widzieć nie można było. Powtóre miałam nadzieję że będę się uczyć w towarzystwie młodych i ładnych panienek, przykrego więc doznałam zawodu dowiadując się że moją jedyną towarzyszką będzie poważna i surowa miss Penfold. Słyszałam wprawdzie że bywają po domach guwernantki. ale nigdy żadnej takiej nie widziałam, zobaczywszy teraz tę która miała kierować moralnem i umysłowem mojem ukształceniem, serce mi się ścisnęło, odwaga odbiegła.

Miss Penfold była osobą dojrzałą i posiadała rozliczne wiadomości; kuzyn Ulryk był dla mnie tak dobrym i tak troskliwym o przyszłość moją iż niezawodnie musiała mu być zaleconą z najlepszej strony i niewątpliwie płacił jej drogie wynagrodzenie, odpowiadające przypisywanym jej zaletom i wysokiej nauce, jednakże nie należała do nauczycielek umiejących zjednywać sobie serca uczennic. Zapewnie przykre i monotonne życie na jakie skazywał ją zawód jaki obrać była zmuszona, obojętność i lekceważenie napotykane na każdym kroku, wyziębiły tkliwsze uczucia tlejące w jej sercu, doznawane zawody wyrobiły gorycz i skwaszenie, a nie mogąc nikogo kochać, zachowała jedynie dla wszystkich obojętną przychylność i słodycz.

Wiadomości naukowe jakie posiadała aż nadto były dostateczne do rozwinięcia umysłowych zdolności uczennicy, ale bynajmniej nie uważała sobie za obowiązek zająć się jednocześnie ukształceniem serca. Odwoływanie się do uczuć, uważałaby sobie za rażącą niedelikatność i naganne przekraczanie właściwych granic; słodziutki uśmiech nigdy z ust jej nie schodził, obchodziła się z uczennicami bardzo grzecznie ale odtrącała stanowczo najlżejszy z ich strony objaw przywiązania. Być może iż dawniej była inną i może serce jej gorzko przebolało chwilową słabość — bądź co bądź mnie przyszło odpokutować za to.

W trzy czy cztery dni po tem pierwszem widzeniu, gabinet kuzynki Maryanny zamienił się w szkołę, w której odbywałam lekcye z moją nauczycielką.

Jakkolwiek metodyczna miss Penfold musiała być straszliwie zgorszona tem że co się zowie nic nie umiałam, ale ten wzór guwernantek zanadto była grzeczna aby mi to dać poznać, i obchodziła się ze mną jakby z najlepiej przygotowaną uczennicą. Jednakże umysł mój mniej żądny był nauki niż tkliwe i serdeczne usposobienie przedmiotów któreby ukochać mogło — w braku ich źródło uczuć mogło wyschnąć i zmarnieć. A tak koniecznie potrzebowałam kochać i być kochaną, iż próbowałam wzruszyć i ożywić choćby przekwitłe serce mojej nauczycielki.

Jakże mocno czułam teraz stratę mojej biednej matki! bolałam nad nią teraz więcej niż pierwej i coraz mocniej przekonywałam się że nic nie zdoła zastąpić macierzyńskiego przywiązania.

Kuzynka Maryanna bardzo rzadko przemówiła do mnie jakiemś życzliwem słówkiem, a nigdy choćby najmniejszą nie obdarzyła pieszczotą, to też pewna byłam że mnie szczerze nienawidzi. Kuzyna Ulryka widywałam krótko i zawsze w obecności jego siostry, nie mogłam więc otworzyć mu serca i powiedzieć jak ono boleśnie odczuwa brak gorętszego przywiązania. Byłam bardzo, bardzo osamotniona, a gdy jeszcze przekonałam się że nawet przesadzonej i grzeczniutkiej miss Penfold kochać nie mogę, opuściła mnie odwaga, a wesołość i swoboda spadły niżej zera.

Miss Penfold nie odstręczała mnie wprawdzie od siebie przykremi lub lodowatemi słowami, lecz ilekroć pragnęłam uprzyjemnić sobie naukę utrzymując że uważam ją za rozkosz a nie za obowiązek, przywoływała mnie, jak to mówią do porządku swojem sztywnem obejściem. Jeżli ujęłam jej rękę, wysuwała ją zaraz mówiąc grzeczniutko: Myśl o nauce, unikaj wszystkiego co od niej oderwać może.

Zdarzyło się raz że znużona jakiemś zadaniem arytmetycznem, którego rozwiązać nie mogłam, wsparłam głowę na jej ramieniu, ale okazała się tak zgorszoną mojem tak nieprzyzwoitem zachowaniem się, iż nie odważyłam się popełnić powtórnie tak potwornej niegrzeczności.

— Proszę cię, miss Fleming, trzymaj się prosto i nie zapominaj że to lekcya; nie mogę ci pozwolić opierać się na mnie w sposób tak niegodny dobrze wychowanej panienki, oddziałałoby to szkodliwie na układ twej figury.

Wracałam więc na swoje krzesło z prostą poręczą, o jakie domagała się dla mnie miss Penfold, jako jedynie właściwe podczas lekcyj, wydając z kolei grammatykę, jeografię i historyę, ale była to dla mnie bardzo nudna i posępna latarnia czarnoksiężka.

Kuzynka Maryanna nie minęła się z prawdą mówiąc że nic nie umiem, jednakże w początkach należało okazywać mi więcej pobłażliwości. Początki nauki są dla każdego w ogóle ciężkie i wcale nie zajmujące, a cóż dopiero dla mnie nienawykłej ani do karności, ani do zesrodkowania uwagi, co już samo trudnem nader stawało się zadaniem, a jednak ani miss Penfold ani kuzynka Maryanna (mieszająca się teraz ciągle do mojej edukacyi) zdawały się nie widzieć moich usiłowań lub przynajmniej nie uważać mi ich za żadną zasługę.

Uważając że nie mam czasu do stracenia, korzystano z każdej chwili, i wyjąwszy godzin przeznaczonych na śniadanie, obiad wieczerzę i codzienną ranną przechadzkę z moją nauczycielką, nie dawano mi chwili wytchnienia między jedną a drugą lekcyą, przez co tak byłam znużoną i osłabioną, w głowie tak mi się mięszało, iż zniechęcona nieraz gorzkiemi zalewałam się łzami, ale daremnie płynęły na rozpalone policzki, nikt na nie nie zważał.

Trudne do pojęcia zasady arytmetyki, kilkakrotne zadawanie jednych lekcyj i przerabianie jednych ćwiczeń, zdołają poskromić najniesforniejszy umysł i przytłumić żywość najswywolniejszego dziecka, szczególniej jeźli nie ma matki u której mogłoby szukać pociechy. To też i ja stałam się daleko spokojniejszą. Jednakże ilekroć uważałam że niesłusznie mnie połajano, dawna buta wracała i nie mało nieraz narobiła mi kłopotu. Gdy ani kuzynka Maryanna ani miss Penfold nie chciały przyznać mi słuszności, uciekałam do mego pokoju, i tam zamknąwszy się na klucz płakałam i załamując dłonie wołałam do matki mojej, aby mnie zabrała do siebie. Ach! ileż to razy wtedy pragnęłam z całej duszy spocząć obok niej na małym cmentarzu w Saltpool.

Kuzyn Ulryk nic o tem wszystkiem nie wiedział, bo choć według uznania obu tych byłam którego dnia bardzo złośliwa i nierozsądna, kuzynka Maryanna nie zabraniała mi nigdy zejść do niego po obiedzie. A jednak byłoby to najdotkliwszą karą, a dziwna ta sprzeczność w postępowaniu kuzynki tak była wyraźną, że wówczas już zwróciła moją uwagę; przypominam sobie nawet że gdy raz uparłam się i nie chciałam zejść, przyszła sama do mnie ugładziła mi włosy, udobruchała łagodnemi słowami i nakłoniła abym poszła przywitać się z jej bratem. Ani mi przyszło na myśl opowiadać mu moje zmartwienia, gdyż z właściwą sobie żywością prędko zapominałam i łatwo przebaczałam urazy, a potem zazwyczaj widywałam go gdy już burza minęła. Zresztą rzadko się bardzo zdarzało aby kuzyn Ulryk cały wieczór przepędzał z nami, a w takich razach bywał zwykle zamyślony i milczący, i tak zdawał się znękany iż nie odważyłabym się męczyć go memi skargami.

Jakkolwiek kuzyn Ulryk wydawał mi się bardzo poważny, kochałam go jednak bardzo, a nie wiedząc po czyjej stanąłby stronie, lękałam się aby nie być od niego połajaną: co byłoby mi nader bolesnem, bo on jeden tylko w tym domu posiadał moje przywiązanie i nieograniczony wpływ wywierał na mnie. Nie mogłam zapomnieć że matka moja prawie na jego ręku ostatnie wydała tchnienie, że jego obecność osłodziła zapewnie ostatnie jej chwile, ani też tego że on jeden przygarnął mnie i swoją otoczył opieką, podczas gdy wszyscy opuścili mnie i odtrącili. Jakkolwiek słowami nigdy nie objawiał mi swego przywiązania, serce własne mówiło mi że w przeciwnym razie nie byłabym w jego domu, a było to dostatecznem dla mojej kochającej natury aby go całą ukochać duszą. Ujrzéć go i rozmawiać z nim, było to jakby jasny promień słońca w mojem posępnem życiu, to też do jakichże nie uciekałam się podstępów aby go zobaczyć i choć jedno zamienić z nim słówko. Wstawałam bardzo rano aby spotkać się z nim zanim wyjedzie, a niekiedy udawało mi się zostać przy nim podczas pierwszego śniadania, a że kuzynka Maryanna nigdy wtedy nie była obecną, były to więc najprzyjemniejsze chwile. Miałam słuch doskonały, więc gdy tylko w ciągu dnia usłyszałam go wchodzącego do jego gabinetu, pod jakimbądź pozorem odbiegałam od lekcyi i zlatywałam po schodach powitać mego opiekuna.

Pewnego poranku byłam jakoś więcej niż zwykle rozdrażniona i gorąco pragnęłam jak najprędzej usłyszeć go wchodzącego do gabinetu. (Nikt ani przypuszczał że tak umiem odróżniać jego kroki). Było to w maju; w owym miesiącu odbywał się w Rockborough doroczny jarmark, a w przeddzień właśnie powiedziałam że bardzobym pragnęła widziéć niezwykłe wystawy sklepowe i różne straganv, na co kuzyn Ulryk odezwał się że mogę iść zaspokoić swoją ciekawość pod opieką miss Penfold, a nadto obiecał dać mi suwerena który wolno mi będzie wydać na co mi się podoba. Zobaczyć coś tak niezwykłego jak wielki jarmark i miéć tyle pieniędzy do swego rozporządzenia, było to więcej niż trzeba dla rozbudzenia mojej wyobraźni, nie mogłam więc zapomnieć o uczynionej mi obietnicy.

Nazajutrz rano objawiłam kuzynce Maryannie piękne moje nadzieje i boleśnego doznałam rozczarowania widząc że ich nie pochwala a przyjemności i zabawy jaką sobie obiecywałam bynajmniej nie uważa za rzecz pewną. Powiedziała mi nawet że musiałam się przesłyszeć, że niepodobna aby brat jej mógł pozwolić mi na tak gminną rozrywkę jak zwiedzenie targu podczas jarmarku, a nareszcie radziła abym nie myślała o tem. Wtedy to miss Penfold śpiewająca zawsze na tę samą nutę co kuzynka Maryanna, powiedziała że targowisko jarmarczne jest nader niestosownem miejscem dla młodej panienki, i jest pewną że gdyby miss Fleming wiedziała co tam spotkać i zobaczyć może, najniezawodniej sama iść by tam nie chciała.

Nie dowierzając miss Penfold że na jarmarku miałabym być świadkiem jakichś gorszących scen, ubolewałam bardzo nad stratą spodziewanej zabawy i obiecanego suwerena, i gorąco pragnęłam jak najprędzej zobaczyć kuzyna Ulryka, aby go zapytać czy wczoraj mówił serjo czy tylko żartował. Właśnie umaczałam głęboko pióro w kałamarzu i zabierałam się do pisania kaligrafii, gdy posłyszałam dobrze znane mi skrzypnięcie drzwi gabinetu kuzyna Ulryka; zamówiwszy się pierwszym lepszym pozorem, zerwałam się z krzesła i wybiegłam z pokoju zanim nauczycielka zdołała mnie zatrzymać.

Na dole były cztery pokoje, to jest: sala jadalna, gabinet konsultacyjny, i dwa przyległe pokoje, przeznaczone dla oczekujących chorych. Do trzech ostatnich nie wolno mi było wchodzić, i nie śmiałabym była przestąpić tego zakazu, nawet dla rozstrzygnięcia ważnej zajmującej mnie sprawy. To też łatwo wystawić sobie moją radość, gdy posłyszałam głos kuzyna Ulryka w sali jadalnej, co dawało mi poznać że jest wolnym w tej chwili. Otworzyłam prędko drzwi i zawołałam biegnąc do niego:

— Wszak prawda, kuzynie Ulryku, że wczoraj wieczór powiedziałeś iż mogę iść zobaczyć jarmark?

Wtem spostrzegłszy że kuzyn Ulryk nie był sam, zaczerwieniłam się po uszy i mocno przytuliłam do niego. W sali było dwóch nieznanych mi gentlemenów, którzy z wielkiem przyglądali mi się zajęciem.

— Na Jowisza! wszak to ta dziewczyna, Ulryku? zawołał jeden z nich przykładając binokle do oczu.

— Uderzające podobieństwo! nader silne zrobiła na mnie wrażenie; doprawdy piękne ma rysy.

— Słowo honoru śliczna dziewczyna! rzekł znów pierwszy. Przysuń się miss... nie wiem jak ci imię —i pocałuj mnie.

— Nie chcę! nie chcę! krzyczałam tuląc się do kuzyna Ulryka.

— No to daj mi choć pukiel włosów.

— Nie dam! odrzekłam stanowczo, jak śmiesz pan tego żądać?

To powiedziawszy odwróciłam się, kryjąc twarz za łokieć kuzyna Ulryka. Mieszało mnie ich wpatrywanie się we mnie, i w myśli pytałam jakim prawem wygłaszają swoje o mnie sądy.

— Grubianie jacyś! szepnęłam do ucha mego opiekuna.

— Mylisz się, Doro, odrzekł, i powinnaś być dla nich grzeczną, bo to są twoi wujowie. To wuj twój Wilfryd, dodał wskazując gentlemana z binoklami, a ten twój wuj Archibald.

— Moi wujowie! zawołałam, a zatem bracia mojej biednej matki... nigdy ich u niej nie widziałam.

Wtedy wszyscy zapragnęli zmienić przedmiot rozmowy, a ja zaciekawiona chcąc przypatrzyć się tym nieznanym wujom, ośmieliłam się podnieść oczy. Zobaczyłam że wuj Wilfryd był blady, wysoki i szczupły, miał ładne wąsiki i duże ale dość rzadkie faworyty. Ile razy spojrzenia nasze spotkały się z sobą, uśmiechał się przyjaźnie, co kazało mi wnosić że musi to być dobry chłopiec.

Wuj Archibald był brunet, tęższy od brata i w twarzy jego można było wyczytać wyższą inteligencyę, mimo to mniej mi się podobał.

— Więc nie odebrałeś żadnej odpowiedzi na ogłoszone drukiem wezwania i zawiadomienia? nie masz żadnej wiadomości co się stało z tym człowiekiem? pytał wuj Archibald.

— Nie mam żadnej wiadomości i żadnej już nie oczekuję, odpowiedział kuzyn Ulryk.

(d. c. n.)



Pl. 437.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.